GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 KWIETNIA 1937 R.

Nr. 7—8 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 7—8

1937 R.

15 — IV

WACŁAW FABIERKIEWICZ

KONIUNKTURA CEN W POLSCE I JEJ PRZYCZYNY

Przeszłość odpowiada za teraźniejszość. Teraźniejszość rodzi przyszłość.

Z przyjemnością należy skonstatować, że nauka ekonomiczna wbrew wieszczącym jej załamanie i kompromitację ocenom różnych „wielkości" publicystyki gospodarczej nie tylko nie wyszła nadwyrężona z retorty doświadczalnej potężnego kryzysu światowego, lecz w ogniu tego doświadczenia wychodzi mocniejsza aniżeli kiedykolwiek. Załamaniu uległy tylko fałszywe teorie ekonomiczne.

Pierwszą tezą ekonomiczną, która wytrzymała próbę doświadczenia jest automatyzm procesów koniunkturalnych. W r. 1932-im, pomimo polityki większości państw, którą można by określić jako hamującą poprawę, osiągnięte zostało dno kryzysu i od tego roku ma miejsce stałe wspinanie się w górę. Dziś świat jako całość wkracza już niewątpliwie w drugą połowę wierzchołka zwyżkowego.

Pogląd o koniunkturach indywidualnych, oparty o fakt słabego wzrostu międzynarodowych obrotów handlowych, okazał się błędny. Koniunktura ma w dalszym ciągu charakter światowy. Słaby i opóźniony wzrost międzynarodowych obrotów handlowych jest tylko naturalną konsekwencją niezwykle silnego wzmożenia się prądów autarkicznych w poprzedzającym okresie kryzysu gospodarczego. To, że poszczególne państwa przez długi czas faktu następującej poprawy zupełnie nie odczuwały, nie był bynajmniej wynikiem tego, że koniunktura miała charakter indywidualny, w dużej mierze sztuczny i spowodowany polityką „nakręcania". Nie „nakręcanie" dało poszczególnym państwom możność swojej własnej poprawy w morzu szalejącego kryzysu, tylko dojrzale do poprawy ogólnoświatowe warunki gospodarcze zostały przez pewne państwa zręcznie i we właściwym czasie wykorzystane, przez inne zaś nie.

Polska znalazła się w nielicznej grupie państw, które tych dojrzałych do poprawy warunków nie chciały, czy też nie umiały wykorzystać i dlatego przebieg kryzysu był w Polsce ostrzejszy, okres jego trwania dłuższy i Polska z tak wielkim opóźnieniem wchodzi w okres poprawy.

Drugą tezą ekonomiczną, która wytrzymała próbę doświadczenia jest teza, że po przez wzajemne stosunki gospodarcze, tak jak to ma miejsce w połączonych naczyniach, poziomy cen poszczególnych krajów przeliczone w złocie dążą do międzynarodowego wyrównania, przy czem złoto odpływa tam, gdzie ceny (w przeliczeniu na złoto) są niższe. W okresie kryzysu lub depresji koniunkturalnej, t.j. w okresie, który charakteryzuje się przewagą podaży towarów i usług, wyrównanie cen, idzie po linii najniższego poziomu. Spadek cen, o ile nie jest wynikiem postępu technicznego, jest powiązany ściśle z kryzysem i dekapitalizacją. Im głębszym musi być spadek cen (w wyniku międzynarodowego wyrównywania), tem głębszy będzie kryzys i dekapitalizacja.

Polska nie obniżyła w swoim czasie kursu swej waluty, tak jak to uczyniła większość państw, więc spadek cen nominalnych w Polsce, musiał być odpowiednio głębszy, a zatem i przebieg kryzysu ostrzejszy, a dekapitalizacja większa, aniżeli gdzieindziej. Polska nie wprowadziła również reglamentacji dewizowej i nie poszła w polityce gospodarczej po linii totalizmu (wyodrębniającego kraj od wpływów gospodarki światowej), zarówno w jego formie komuni-

stycznej, jak i faszystowskiej, Polska musiała zatem stracić ogromną część swego poprzednio zgromadzonego zasobu złota.

Kryzys gospodarczy z finansowego punktu widzenia jest to swoista forma oddłużenia. Przedsiębiorstwa słabsze, nadmiernie obciążone i nie wytrzymujące konkurencji przechodzą albo w stan ostatecznej likwidacji albo w ręce silniejsze (swych wierzycieli), przy czem zadłużenie w drodze nabycia przez wierzycieli ulega automatycznemu skreśleniu (lub redukcji), a w celu trwałego zabezpieczenia na przyszłość zdolności konkurencyjnej przejętych przedsiębiorstw, nowi właściciele podejmują akcję modernizacyjną. Już zatem w stadium depresji koniunkturalnej, a w szczególności w jej stadium końcowym indeks produkcji dóbr kapitałowych zaczyna się podnosić, przy czem im bardziej gruntownym okazuje się proces oddłużenia, im wcześniej przemysł wchodzi w okres podnoszenia swej zdolności konkurencyjnej przez modernizację, tem zdolniejsze staje się gospodarstwo narodowe do wykorzystania fazy ożywienia koniunkturalnego, tem powolniejszą i słabszą jest tendencja zwyżkowa cen i w konsekwencji tem dłuższy okres samego ożywienia. Jeśli przedsiębiorstwa wchodzą w okres ożywienia z większym stopniem obdłużenia, to ich zdolność kredytowa, a tem samem i inwestycyjna ulega obniżeniu proporcjonalnemu do wysokości obdłużenia. Tem szybciej w konsekwencji wyczerpuje się optymalna zdolność wytwórcza przedsiębiorstw i w tem większym stopniu koniunktura ilościowa staje się koniunkturą cen. Te same wnioski dają się wyciągnąć w odniesieniu do wypadku zbyt opóźnionego przystąpienia do akcji modernizacyjno - inwestycyjnej. Koszta akcji modernizacyjno - inwestycyjnej są wówczas odpowiednio wyższe, możliwości pieniężno - kapitałowe społeczeństwa wyczerpują się szybciej i sam okres ożywienia koniunkturalnego ulega automatycznie skróceniu.

Polska światową poprawą koniunktury została zaskoczona w okresie pełnego stosowania t.zw. niesłusznie polityki „deflacyjnej", a co za tem idzie powiązanego z tą polityką procesu dekapitalizacji. W związku z ówczesną polityką popierania zniżkowego procesu cen, nie mogła ona zapoczątkować w porę procesów modernizacyjno - kapitalizacyjnych, wobec czego wkroczyliśmy w okres ożywienia z o wiele za niskim pułapem możliwości produkcyjnych.

Procesów oddłużeniowych w przemyśle niemal nie przeprowadzaliśmy; były one zresztą hamowane faktem żywiołowo rozwijającej się (na tle akcji „deflacyjnej") kartelizacji oraz polityką swoiście pojmowanego „samarytanizmu gospodarczego". W rezultacie i możliwości nowego zadłużania się w okresie ożywienia, określające, jak wiadomo, rozmiary możliwej akcji modernizacyjno - inwestycyjnej w życiu prywatno - gospodarczym są znacznie szczuplejsze od tych jakich należało by oczekiwać.

Wydawałoby się, że w tych warunkach, najwłaściwszą drogą byłoby oparcie ożywienia koniunkturalnego o przypływ kapitałów zagranicznych. Przypływu tego nie można byłoby jednak oczekiwać w warunkach reglamentacji dewizowej. Zniesienie tej reglamentacji, przy istniejącym, nadmiernie wysokim w stosunku do poziomu międzynarodowego, poziomie cen krajowych i wyczerpanych zasobach złoto - walutowych, byłoby znów nie do pomyślenia bez jednoczesnego obniżenia kursu waluty (dewaluacji), co w latach 1933 — 1934 mogło mieć nawet charakter pozytywny. Dokonanie jednak spóźnionej dewaluacji, w warunkach ożywienia gospodarczego, przy silnie zwyżkujących cenach surowców i wyjątkowo silnie obniżonych poprzednią polityką „deflacyjną" poziomach płac, musiałoby podnieść odpowiednio koszta produkcji, podrożyć, a tem samem i zahamować procesy kapitalizacyjne i wywołać falę wysoce niebezpiecznych ruchów zwyżkowych, które już nawet przy obecnym kurie waluty nie wydają się łatwe do opanowania. Jest ono za tem nie do pomyślenia. Z drugiej strony utrzymywanie kursu waluty w oparciu o reglamentację dewizową wysuwa nieodparcie na plan pierwszy polityki rządowej zadanie takiego hamowania wzrostu cen, aby ten poziom, pozostając stopniowo coraz bardziej w tyle, wyrównał się ostatecznie z poziomem cen rynku międzynarodowego.

I tu znów napotykamy na wewnętrzną sprzeczność i to dwojakiego rodzaju:

1. Reglamentacja dewizowa podraża poważnie koszta surowców i inwestycji, których wzrost i tak akcentuje się nazbyt silnie. Hamując zatem ceny produktów wyjściowych wpływać musimy tem samem ujemnie na rentowność i hamująco na procesy kapitalizacyjne, co skolei musi wywołać zahamowanie wzrostu optymalnej zdolności produkcyjnej, a w konsekwencji wybitnie nastawiać gospodarstwo narodowe na rozwój w kierunku nie koniunktury ilościowej, lecz szybko się wyczerpującej koniunktury cen. Już obecnie, mimo wielkich wysiłków, *tempo* zwyżki cen i kosztów utrzymania w Polsce zaczyna wykraczać poza przeciętne *tempo* rynku międzynarodowego, ze względów, które z punktu widzenia teorii ekonomicznej są całkowicie zrozumiałe.

2. Reglamentacja dewizowa odkłada w praktyce (hamując przywóz) inwestycje kapitałowe na dalsze terminy, a więc odsuwa proces rozbudowy optymalnej zdolności produkcyjnej na okresy dalsze (kiedy ten proces będzie się mniej opłacać), zwiększając tem samem ilość błędnych gospodarczo inwestycji (t.zw. „Fehlinwestitionen") i działając dodatkowo, wbrew zamierzeniom, w kierunku zwyżki cen.

I wreszcie! Podłożem teoretycznym polityki „deflacyjnej" był liberalizm gospodarczy. Wynikiem zaś praktycznym tej polityki jest wybitne uszczuplenie realnych możliwości rozbudowy koniunktury w oparciu o kapitał prywatny. Wbrew nastawieniom i zamiarom koniunktura w Polsce, jeśli nie ma mieć charakteru wybitnie krótkotrwałego, musi się rozwijać w oparciu o państwo. Stąd i polityka gospodarcza musi nabierać cech wybitnie niepopularnego etatyzmu.

Poco to wszystko mówimy?

1. W tym celu, aby wreszcie zrozumiano, że w gospodarstwie narodowym przyczyny i skutki są od siebie oddalone, efekty dają się osiągać stopniowo, a posunięcia gospodarcze rodzą nie tylko reakcje zamierzone, lecz i dodatkowe reakcje zupełnie nieoczekiwane.

2. W tym celu aby podkreślić zasadniczą słuszność myśli wypowiedzianej już przez prof. Lipińskiego o konieczności możliwie szybkiego tempa rozbudowy optymalnej zdolności produkcyjnej, jako głównego środka, jakkolwiek już w dużej mierze spóźnionego, w walce o utrzymanie koniunktury ilościowej i to przede wszystkim w drodze dostarczenia odpowiednich środków kredytowych na tę rozbudowę, oczywiście na rozbudowę przedsiębiorstw znajdujących się w rękach kapitału krajowego, gdyż kapitał zagraniczny powinien sam swoje inwestycje finansować.

Tu leży w moim przekonaniu punkt ciężkości dzisiejszej sytuacji gospodarczej, w rozwiązaniu węzłów której nie powinniśmy się dać zasugestionować przez pewne szeroko rozpowszechnione teorie pieniężne, fałszywość których uwypuklona została dostatecznie wyraźnie biegiem wypadków w czasie światowego kryzysu gospodarczego. Tak jak przed tem baliśmy się niesłusznie słowa dewaluacja, reglamentacja dewizowa i niewypłacalność, nie zdając sobie sprawy z wagi warunków w których dokonywa się ich realizacja oraz przywiązując nieusprawiedliwioną niczem wagę do czarodziejskiego działania słowa deflacja, tak dziś byłoby źle gdybyśmy się zrzekli pewnych posunięć w dziedzinie finansowania lub ułatwiania finansowania inwestycji, w szczególności w przemyśle surowcowym, z obawy przed urojonymi w pewnych warunkach skutkami słowa inflacja kredytowa [1]).

TADEUSZ JANOWSKI

PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ REGLAMENTACJI DEWIZ

Reglamentacja dewizowa, jako narzędzie polityki gospodarczej, powinna być możliwie elastyczna i dostosowywana do każdorazowej sytuacji gospodarczej.

1.

Atmosfera niewiary i panikarstwa, oczekiwanie na załamanie się złotego, zdenerwowanie, podsycane wiadomościami „z dobrych źródeł", najdziwaczniejsze plotki, ogólne podniecenie publiczności, prowadzące do psychozy tezauryzacyjnej poprzedziły wprowadzenie rok temu ograniczeń dewizowych. Ta specyficzna atmosfera uczuciowa o wzrastającym z dnia na dzień napięciu w znacznym stopniu przesądziła o wyborze środka zaradczego na trudności w obliczu których znaleźliśmy się rok temu. Pośpiech z jakim pod naporem konieczności wprowadzono ograniczenia dewizowe uniemożliwił dostateczne przepracowanie i pogłębienie zagadnienia, nie pozwolił na zastanowienie się nad wszystkimi blaskami i nędzami reglamentacji dewizowej oraz na wyciągnięcie wniosków z bogatego doświadczenia państw, które wcześniej na tę drogę wkroczyły. W rezultacie ograniczenia dewizowe potraktowano jako techniczne wyjście z trudnej sytuacji, jako środek tymczasowy, ograniczony do odcinka walutowego, jako zarządzenie któremu nie zamierzano nadawać charakteru trwałego, a które miało umożliwić przetrwanie trudnego okresu.

Reakcja publiczności była bardzo podobna. Wiara w tymczasowość reglamentacji dewizowej była powszechna nieomal do jesieni ub. roku. Dopiero nie przyłączenie się Polski do grupy państw, które przeprowadziły zabieg dewaluacyjny wiarę tę osłabiło.

Jest jasne, że uruchomiony w tempie bardzo szybkim aparat reglamentacyjny nie może być doskonałym. Stąd przez szereg miesięcy po wprowadzeniu ograniczeń trwa jego doskonalenie polegające na stopniowym obejmowaniu szeregiem przepisów wykonawczych wszystkich nieomal przejawów życia gospodarczego. Mimo wielkich wysiłków jakie są czynione, żeby aparat reglamentacyjny nie okazał się zbyt uciążliwym dla życia gospodarczego, dokuczliwość jego, można powiedzieć, używając paradoksu, wzrasta w miarę jak postępuje doskonalenie.

Oczywiście w płaszczyźnie szczęśliwych posunięć organizacyjnych można w pewnym stopniu złagodzić te trudności, usunięcie ich zupełne jest jednak niemożliwe, bowiem uzyskanie zezwolenia na działanie objęte jakimkolwiek bądź zakazem zawsze wymaga spełnienia pewnej ilości warunków formalnych, co przy bujności form życia gospodarczego jest nieraz szczególnie trudne. Są to jednak trudności techniczne i jeśli o nich wspominam, to tylko dlatego, żeby wskazać, że każda reglamentacja jest dużo więcej uciążliwa dla życia gospodarczego niż wszelkie formy bezpośredniego etatyzmu.

O ile jednak świadomość trudności technicznych jakie wynikają dla życia gospodarczego z istnienia reglamentacji dewizowej zjawia się bardzo wcześnie i czynione są wysiłki mające na celu ich złagodzenie, o tyle świadomość konieczności prowadzenia takiej polityki dewizowej, któraby uwzględniała stopień naszej samostarczalności i stopień zależności surowcowej od zagranicy, momenty polityczno-handlowe, pozycję niektórych państw wierzycielskich wobec Polski z jednej strony, oraz cele i zadania jakie postawiliśmy sobie w zakresie realizacji szeregu postulatów wewnętrzno-gospodarczych z drugiej strony — zjawia się znacznie później. Stopniowo, w miarę powstawania trudności natury zasadniczej, reglamentacja dewizowa traktowana początkowo jako prowizorium mające umożliwić przetrwanie do momentu, w którym rozwój cen światowych osiągnie poziom pozwalający na włączenie gospodarstwa polskiego w orbitę gospodarstwa światowego, nabiera powoli cech

---

[1]) Zastrzegam się przeciwko identyfikowaniu na tej podstawie poglądów moich z poglądami prof. St. Grabskiego. Istnieją pomiędzy Jego, a moimi poglądami poważne różnice, których tu jednak uwypuklać nie zamierzam.

trwałości i prowadzi do szeregu głębszych konsekwencji polityczno-gospodarczych.

Omówienie wszystkich konsekwencji reglamentacji dewizowej w zakresie obrotu towarowego z zagranicą, oraz wynikających stąd niejednokrotnie znacznych zmian w strukturze gospodarstwa narodowego jest, rzecz prosta, w ramach artykułu niemożliwe. Ograniczymy się do omówienia zagadnienia dostatecznego zaopatrzenia się w niezbędne surowce zagraniczne.

Kurczenie się rezerw kruszcowych i dewizowych Banku Polskiego trwało — mimo zawieszenia transferu — do końca lipca ub. roku. Główną przyczyną tego było znacznie zwiększone zapotrzebowanie na dewizy dość powszechnie występujące w pierwszym okresie po wprowadzeniu ograniczeń dewizowych, a mające swoje źródło częściowo w dążności producentów do zaopatrywania się w surowce nieraz ponad normę aktualnie konieczną do produkcji oraz przede wszystkim w głównej mierze wskutek postawy dostawców zagranicznych, zaprzestających dalszej prolongaty udzielonych kredytów i domagających się często przedterminowej spłaty swoich wierzytelności. Ponieważ pozycja dostawców zagranicznych jest nieraz bardzo silna, bo często stoi za nimi państwo, które z krajem stosującym restrykcje dewizowe posiada bierny bilans handlowy, a więc zawsze ma możność wywarcia odpowiednio mocnego nacisku, pretensje ich muszą być w pełni honorowane. Po upływie dwóch, trzech miesięcy, następuje pod tym względem pewne uspokojenie, gdyż ograniczenia dewizowe okazały się nie tak straszne, jak początkowo przypuszczano, poza tem w głównej mierze dlatego, że znaczna część przedterminowych płatności została już dokonana. Jako rezultat trwały pozostaje stopniowy zanik tranzakcji kredytowych, będący jedną z najwięcej typowych konsekwencji wprowadzenia ograniczeń dewizowych. Dostawca zagraniczny, mając perspektywę nieotrzymania zapłaty na termin, bądź całkowitego jej zamrożenia, asekuruje się żądając zapłaty w gotówce, poprzedzonej nieraz zaliczką, często nawet żąda zapłaty z góry przed wysyłką towaru. Udzielane zwyczajowo przy zapłacie gotówką z góry bonifikaty z reguły nie rekompensują odbiorcy kosztów mobilizacji środków płatniczych i unieruchomienia ich do czasu otrzymania surowca, przetworzenia go i sprzedania. Jeżeli dochodzą do skutku tranzakcje kredytowe, to przeważnie na warunkach uciążliwych dla odbiorcy, przy czem jako zabezpieczenia żąda wierzyciel zagraniczny wykazania się posiadaniem przez odbiorcę promesy dewizowej, będącej przyrzeczeniem, że w terminie płatności kredytu nastąpi swobodny transfer. Nie trzeba dodawać, że honorowanie w całej rozciągłości wydanych promes jest warunkiem sine qua non dla możności korzystania z kredytów zagranicznych. Poza tem niejednokrotnie inna jest postawa dostawcy zagranicznego, jeśli chodzi o cenę surowca, wobec odbiorcy z kraju stosującego ograniczenia dewizowe niż wobec odbiorcy z kraju, w którym transfer nie napotyka na żadne trudności. Dostawca żąda cen wyższych, uzyskując w ten sposób premię za ryzyko wszelkich niespodzianek i trudności na jakie może napotkać przy otrzymywaniu swojej należności.

Będzie dość bliskim prawdy, jeśli powiemy, że z momentem wprowadzenia ograniczeń dewizowych zbiega się mniejwięcej moment zwrotny koniunktury, wyrażający się znacznym wzrostem zapotrzebowania na podstawowe surowce, które zmuszeni jesteśmy sprowadzać z zagranicy. Jednocześnie w drugiej połowie ubiegłego roku występuje wyraźnie trwająca do chwili obecnej ciągła i postępująca w szybkim tempie zwyżka cen światowych na podstawowe surowce. Łączne działanie tych dwóch sił powoduje znów bardzo silne zwiększenie zapotrzebowania na dewizy. Przyczynia się do tego w dużym stopniu fakt, że do końca ubiegłego roku rozmiary przywozu surowców normowane były aktualnemi potrzebami przemysłu i były z reguły większe niż przydziały dewizowe, co prowadziło do powstania znacznego zadłużenia. Wyrazem dążności do synchronizacji rozmiarów przywozu z aktualnemi możliwościami dewizowemi jest wprowadzenie z początkiem bieżącego roku kontyngentów przywozowych wartościowych, rzecz prosta, obejmujących tylko przywóz autonomiczny. System ten gwarantuje importerom przydział dewiz w wysokości wartości uzyskanego kontyngentu przywozowego, globalna wartość którego jest określona na poziomie odpowiadającym zamierzonemu i możliwemu przydziałowi dewiz.

Nakreślony powyżej w sposób szkicowy rozwój form reglamentacji dewizowej w zakresie autonomicznego importu jest trochę podobny do rozwoju form reglamentacji dewizowej w Niemczech, gdzie początkowo od 1931 r. zapotrzebowanie dewiz pokrywane było w sposób mechaniczny w pewnym procencie (50%) w stosunku do importu w 1930 r. i pierwszej połowie 1931 r., który to okres uznano za wytyczny; później stopniowo w miarę powstawania trudności procent ten zmniejszano, wreszcie w ramach t. zw. „nowego planu" w połowie 1935 r. Niemcy przechodzą na system ścisłego dostosowania rozmiarów importu do możliwości dewizowych, w którym obietnica przydziału dewiz zostaje zastąpiona przez zaświadczenie dewizowe zezwalające na przywóz i gwarantujące przydział dewiz.

Wprowadzenie systemu kontyngentów wartościowych, będące naturalną konsekwencją rozwoju form reglamentacji dewizowej, nie rozwiązuje nie tylko całkowicie wszystkich trudności zagadnienia zaopatrzenia surowcowego ale przeciwnie stwarza szereg nowych. Stale zwiększające się tempo zwyżki cen światowych na surowce, przy systemie kontyngentów wartościowych oznacza silny niedobór ilościowy przywozu i prowadzi nieraz do bardzo znacznego niezaspokojenia potrzeb przemysłu. Posiadane przez przemysł w momencie wprowadzenia ograniczeń dewizowych zapasy pod wpływem wzmożonej produkcji z jednej i ograniczeń przywozowych i dewizowych z drugiej strony zostały w międzyczasie całkowicie skonsumowane.

Powstają więc niezwykle korzystne naturalne warunki dla wysokiej renty kontyngentowej, zjawia się zagadnienie zwyżki cen artykułów przemysłowych opartych o surowce zagraniczne.

2.

W obliczu trudności na odcinku zaopatrzenia surowcowego i cen uruchomiony zostaje aparat środków łagodzących ostrość tego zagadnienia. Zostaje postawiona w sposób bardzo wyraźny sprawa wykorzystania eksploatowanych dotąd w stopniu nieraz niedostatecznym krajowych surowców zastępczych. Osiągnięcie efektów realnych w tej dziedzinie w rozmiarach b. znacznie łagodzących niedobór surowcowy, wynikający z konieczności dewizowych, jest jednak możliwe dopiero po upływie dłuższego okresu czasu. Powiększenie np. podaży lnu czy eksploatacja krajowych rud żelaznych wymagają pewnych nakładów kapitałowych, stworzenia odpowiednich warunków dla tych produkcji, wreszcie przystosowania się zakładów przetwórczych. Zagadnienie zastępowania surowców zagranicznych surowcami krajowymi czy namiastkami jest obliczone na szereg lat i w ciągu krótkiego czasu wielkich wyników dać nie może.

Równocześnie zostaje dopuszczony bez żadnych ograniczeń przywóz surowców z krajów, z którymi obowiązuje obrót bezdewizowy. Tu jednak również możność osiągnięcia większych rezultatów jest wielce ograniczona wskutek specyficznej sytuacji światowej, jaka w międzyczasie wytworzyła się na odcinku surowców. Silny popyt na podstawowe surowce, wywołany powszechną akcją zbrojeniową, stwarza dla dostawców tych surowców sytuację szczególnie uprzywilejowaną. O odbiorcę, który płaci natychmiast gotówką w pełnowartościowej walucie obcej, nietrudno, nic więc dziwnego, że dostawa w clearingu przy perspektywie czekania nieraz parę miesięcy na otrzymanie zapłaty w walucie krajowej przestaje być atrakcyjna. Bardzo ograniczona przez to możność nabycia surowców w obrocie bezdewizowym niknie całkowicie wtedy, gdy źródła surowcowe objęte są porozumieniem międzynarodowym, dyktującym warunki zapłaty, wreszcie gdy w grę wchodzi wprowadzony w szeregu państw formalny zakaz wywozu niektórych surowców.

Ponieważ poważnie liczyć się należy z dalszemi trudnościami w tej dziedzinie, wartość łagodząca importu surowców w obrocie bezdewizowym znacznie maleje. Jest rzeczą zupełnie prawdopodobną, że w razie dalszego wzrostu rozmiarów zbrojeń, nabycie np. złomu żelaznego nawet za dewizy będzie niemal niemożliwe.

W początkach marca r. b. zastosowano u nas bardzo ciekawy środek, mający na celu umożliwienie dodatkowego przywozu surowców, bez uszczerbku zasobów dewizowych. Zezwolono mianowicie na wykazywanie avoir'ów posiadanych przez obywateli polskich zagranicą, a nie podlegających obowiązkowi odsprzedaży w myśl obowiązujących przepisów dewizowych, na ponadkontyngentowy przywóz metali nieszlachetnych, złomu i kauczuku generalnie, a szeregu innych surowców za indywidualną zgodą władz dewizowych. Przy stale postępującym ożywieniu gospodarczym zachęta do zużycia avoir'ów zagranicznych na niczem nieograniczony import surowców jest bardzo znaczna.

Wydaje się jednak, że w podobny sposób należałoby umożliwić zużycie walut obcych posiadanych przez obywateli polskich w kraju. Możliwość osiągnięcia znacznych zysków, wskutek postępującej zwyżki cen światowych na podstawowe surowce jest tak oczywista, że „ulegalnienie" zużycia posiadanych walut na cele importu surowców dałby mogło bardzo duże korzyści. Obawy, które mogłyby się tutaj nasunąć, przed rozpętaniem spekulacji, polegającej na wcześniejszym zakupie surowca i przetrzymywaniu go do chwili znacznej zwyżki cen, są o tyle nieistotne, że zysk takiej spekulacji w każdym razie pozostawałby w kraju, podczas, gdy dziś różnica między rosnącemi z dnia na dzień cenami światowemi, przy niemożności wcześniejszego dokonania większych transakcji importowych wskutek szczupłości kontyngentów, jest w rezultacie transferowana. Osiągnięte w ten sposób rozluźnienie kontyngentów przywozowych zwiększyć mogłoby znacznie zaopatrzenie surowcowe przemysłu, obniżając poziom renty kontyngentowej.

Są to oczywiście wszystko środki, które w pewnych okolicznościach dają odciążenie, które zbliżają do rozwiązania zagadnienia zaopatrzenia surowcowego, ale prawie nigdy nie pozwalają na całkowite jego rozwiązanie.

Trudności w dziedzinie należytego zaopatrzenia surowcowego stają się tem większe, im większe nastąpiło zaangażowanie się w realizowanie ożywienia koniunkturalnego oraz im silniejsza jest dążność nie tylko do utrzymania rezerw kruszcowych na poziomie przy którym zahamowano ich odpływ ale do wydatnego ich zwiększenia.

Powstaje kwestia, czy w warunkach, w których w tej chwili znajdujemy się, a których rozwój staraliśmy się pokazać, nie byłaby wskazaną rezygnacja ze zbytniej ostrożności polityki dewizowej. Czy nie należałoby pójść na pewną liberalizację i przeznaczyć znacznie większe sumy na cele importu surowców, wychodząc z założenia, że w okresie rosnących cen światowych na tej drodze można w ostatecznym wyniku osiągnąć b. wydatną oszczędność dewizową? Czy takie posunięcie, przeprowadzone w stosunkowo dużej skali nie dałoby rekompensaty dewizowej via obniżenie cen wewnętrznych i zwiększenie zdolności konkurencyjnych naszego eksportu?

Przez szereg lat przed wprowadzeniem ograniczeń dewizowych głoszono w Polsce postulaty stałości waluty, wolności transferu, i pełnego honorowania zobowiązań zagranicznych. Jednocześnie utrzymywano wysokie bariery celne i tworzono reglamentację przywozu — stwarzając niezwykle korzystną atmosferę dla powstawania karteli z wszystkiemi ich konsekwencjami w dziedzinie cen i prowadząc do izolacji gospodarczej Polski. Miało to umożliwić realizację tych postulatów a w ostatecznym rezultacie przez uniemożliwienie dostosowywania naszych cen do poziomu cen światowych znacznie ją utrudniło.

Na krótkowzroczność tej polityki wskazywano w swoim czasie.

Dziś sytuacja jest dość podobna z tem, że wysokie cła zostały wzmocnione przez generalną reglamentację przywozu i dewizową. Powstały cieplarniane warunki dla wysokiej renty kontyngentowej wynikającej ze szczupłości kontyngentów. Ceny arty-

kułów uzależnionych od surowców zagranicznych przestały być o tyle sztywne, że poszły w górę, pociągając za sobą zwyżkę cen innych artykułów.

Czy wobec tego liberalizacja ograniczeń dewizowych jeśli chodzi o import surowców nie byłaby najlepszą drogę, którą należałoby wybrać, aby przyśpieszyć moment włączenia się do gospodarstwa światowego, zwłaszcza że wzrost cen wewnętrznych wykazuje w większości przypadków tempo szybsze niż wzrost cen światowych, co upragniony moment „włączenia się" może znów oddalić na czas bliżej nie określony.

Istnieć może obawa, że tego rodzaju liberalizacja pod wpływem bodźca koniunkturalnego wywoła zbyt pochopne wzmaganie procesów produkcyjnych, co w przewidywaniu późniejszych ich skutków należałoby uznać za niepożądane. Powstaje kwestia, czy w takim razie nie należałoby iść na zcentralizowanie wcześniejszych i w większych rozmiarach dokonywanych zakupów pewnych surowców zagranicznych, których posiadanie w znacznych ilościach jest pożądane również z innych pozagospodarczych względów, i następnie w miarę potrzeby stwarzanie na rynku wewnętrznym dodatkowej podaży po niższych cenach.

Można takiej koncepcji postawić zarzut, że jeśli zwyżka cen światowych, posiadająca niewątpliwie w pewnych przypadkach charakter spekulacyjny, wskutek zjawienia się dogodniejszych szans spekulacyjnych niż lokaty w surowcach — oraz wskutek działania czynników ubocznych, ulegnie w pewnym momencie załamaniu, powstaną straty tem większe w im większym stopniu zaangażowało się n. p. Państwo w zcentralizowany import. Oczywiście jest to zawsze możliwe, choć wszystko wskazuje na to, że przez stosunkowo długi okres czasu będziemy świadkami zwyżki cen. Zresztą rozmiary takich zakupów mogłyby nie przewyższać ilości niezbędnych do produkcji w okresie np. trzymiesięcznym. Za realizacją takiej koncepcji przemawia między innymi fakt, że w dzisiejszych warunkach odbiorcą mającym najwięcej szans na uzyskanie kredytu towarowego, zagranicznego jest właśnie państwo.

Możnaby też powiedzieć, że w warunkach swobody transferu przedsiębiorca prywatny niewątpliwie dokonałby dziś antycypacyjnych zakupów surowca. To ryzyko jakie poniosłoby państwo mieści się więc niewątpliwie w ramach normalnego ryzyka gospodarki koniunkturalnej.

Można zajmować takie czy inne stanowisko, chodzi jednak o to, aby decyzja była przemyślana do końca z uwzględnieniem wszystkich pro i contra i żeby była powzięta możliwie szybko. Szkicowy przegląd wydarzeń na odcinku zaopatrzenia surowcowego dość wyraźnie wskazuje, że ograniczenia dewizowe, traktowane początkowo jako forma przejściowa o znaczeniu raczej technicznym stopniowo w sposób trwały wiążą się z podstawowymi problematami polityki gospodarczej, zmuszając niejednokrotnie do zasadniczych decyzji. Reglamentacja dewizowa wprowadzona na skutek wyraźnej konieczności i nadal jeszcze niezbędna nie powinna być nadmiernie sztywna. Dla pełnego wyzyskania poprawy koniunkturalnej uelastycznienie jej na odcinku surowcowym stanowi w tej chwili warunek pierwszorzędny.

Walne Zgromadzenie Spółdz. z o. o. „GOSPODARKA NARODOWA"

Dnia 11 maja 1937 r. (wtorek) o godz. 19 min. 30 w lokalu dwutygodnika „Gospodarka Narodowa", Warszawa, ul. Nowy Świat 37 m. 15 odbędzie się

Doroczne Walne Zgromadzenie Spółdz. z o. o. „GOSPODARKA „NARODOWA" w Warszawie

z następującym porządkiem obrad:

1. Zagajenie.
2. Wybór prezydium.
3. Sprawozdanie za rok 1936.
4. Zatwierdzenie Bilansu Zamknięcia oraz r-ku Strat i Zysków.
5. Projekt budżetu na rok 1937.
6. Wolne wnioski.

Rada Nadzorcza:
(—) *Bobrowski Czesław*
(—) *Ciechomska Zofia*
(—) *Świderski Kazimierz.*

Warszawa, dn. 15 kwietnia 1937 roku.

ANDRZEJ FALK

TRZEBA WYBIERAĆ!

Polską politykę gospodarczą charakteryzuje — po za szeregiem innych cech — zagadkowość motywów i wielokrotna sprzeczność celów. Rzeczą historyka a nie polityka będzie wydobyć z dzisiejszych czasów jakąś krytyczną syntezę, której współcześni nie mogą sobie uprzytomnić, mimo, że jest ona dla nich niezbędna jak busola. Publicysta może jedynie zanotować, zestawić i oświetlić pewne luźne fakty, spostrzeżenia i charakterystyki, przy czem nie będzie wolny od subiektywnej i chwilowej (przemijającej) postawy wobec podawanego przez siebie materiału. Pisząc o polityce gospodarczej, pisze się pod kątem takich czy innych aktualnych poglądów i — co ważniejsze — potrzeb. Krytyk, który nie bierze się do dzieła „sub specie aeternitatis", naraża się na ten sam zarzut, jaki wysuwa pod adresem przedmiotu krytykowanego: myśli i działa doraźnie, ma krótki wzrok i krótki oddech.

Jeżeli pomimo powyższych zastrzeżeń podpisany podejmuje próbę ataku na założenia i cele naszej polityki gospodarczej, to rozgrzesza go i usprawiedliwia jedynie „chwila osobliwa", jaką w napięciu nerwów przeżywa dzisiaj Polska na równi z całym światem, wstrząsanym paroksyzmami nowych idei, nieskrystalizowanych prądów i nieokiełznanych namiętności.

Idee gospodarcze... mój Boże! Toż właśnie brak czy niedowład takich właśnie sił motorycznych zawsze się Polsce dawał we znaki. Nieszczęściem Polski było jeszcze przed rozbiorami, że nie miała jasno skrystalizowanych myśli przewodnich swej działalności gospodarczej. Rzeczypospolita szlachecka, pomijając już fakt, że nie zdołała wytworzyć jakiejkolwiek doktryny ekonomicznej (ani na użytek domowy, ani „na wynos"), cierpiała na ubóstwo koncepcyj gospodarczych. Jej gospodarczą racją stanu była w najlepszym razie walka z kozakami o majątki kresowych paniąt lub akcja przeciwko cechom rzemieślniczym i kupiectwu krajowemu w obronie wąsko pojętych interesów konsumenckiej klasy szlacheckiej. Nie prowadzono natomiast wojen o rynki zbytu (Gdańsk szlachcie wystarczał), nie spierano się o obszary kolonizacyjne, nie szukano źródeł surowców, nie walczono o szlaki komunikacyjne (zwłaszcza morskie). Jeżeli w pewnych wypadkach zdarzały się wyjątki od wspomnianej reguły, to były one tak rzadkie i tak słabe, że nie mogły wywrzeć jakiego bądź wpływu na mentalność i postępowanie Rzeczypospolitej szlacheckiej. Spokój i bierność: oto co cechowało polską politykę gospodarczą trzech stuleci, poprzedzających tragedię rozbioru.

Czy jednak tak dużo zmieniło się z chwilą odzyskania Niepodległości? Jaką ideologią, wyraźnie zarysowaną ideologią możemy się wylegitymować dzisiaj po upływie 18 lat niezawisłego bytu państwowego? Czy my stworzyliśmy doktrynę autarkii? Czy byliśmy twórcami koncepcji „économie dirigée", gospodarki planowej? Czy nastawiliśmy się na jakiś wyraźny cel gospodarczo - polityczny, dominujący w w naszej polityce zagranicznej?...

Mówimy o t. zw. nastawieniu naszej polityki gospodarczej. Może się ono bazować na momentach historyczno - uczuciowych („póki świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem" albo „Węgier, Polak dwa bratanki"; stosunek do Rosji), może opierać się o czynniki militarno - polityczne (sojusz z Francją), może wychodzić z założeń czysto finansowych (dobre stosunki z Anglią, Stanami Zjednoczonymi itp.) — zawsze jednak coś trzeba przyjąć za punkt wyjścia. Jeżeli się np. założy, iż interes zewnętrzno - polityczny wymaga oparcia się o W. Brytanię, kraj bogaty, a przytem hołdujący zasadom liberalizmu z ograniczeniami, to polityka gospodarcza nie bardzo może hołdować jednocześnie zasadom autarkii, reglamentacji dewizowej etc[1]). Z drugiej strony fakt, iż Polska stosuje metody, znane jedynie państwom „totalnym" (z Rosją Sowiecką włącznie), jeszcze nie dowodzi, że w polityce sprzyja ona Niemcom i Rosji jednocześnie, jako, że fakt taki politycznie byłby niemożliwy.

Tak czy inaczej, trzeba się zdecydować na jakąś politykę: białą, czarną, czerwoną czy zieloną, politykę pro-agrarną lub pro-przemysłową, na wyraźne zyski jednych i na wyraźne straty drugich. Trzeba wybierać pomiędzy polityką konsumencką a polityką producencką. Trzeba sobie powiedzieć: „Hic Rhodus hic salta"! i — skoczyć. Rzeczpospolita XVI w. dokonała wyboru jednostronnego, ale niefortunnego w czasie: prowadziła politykę skrajnie liberalną, do jakiej nie doszła Anglia nawet w XIX stuleciu, która to polityka była jaskrawym anachronizmem. Dlatego też decyzja wyboru drogi nie może naśladować błędów, popełnionych przez ciasne łby szlacheckie, zakochane w spokoju i bierności.

Kto wie, czy braku wyraźnych konturów w założeniach i celach polskiej polityki gospodarczej nie należy zawdzięczać temu, iż Polską żądzą inteligencja i biurokracja zawodowa, które, albo nie posiadają żadnej fizjognomii klasowej, albo też, ich oblicze klasowe ma w sobie po kawałku z twarzy chłopa, ziemianina, robotnika, przemysłowca i kupca. W Polsce, gdzie do dziś dnia nie było walk klasowych i gospodarczych, gdzie mieszczaństwo i robotnicy nie budowali barykad, gdzie solidaryzm był nie tylko na sztandarach, ale i w umysłach — w Polsce, powtarzam, rządy bezklasowej inteligencji (którą tak świetnie umiał scharakteryzować Stanisław Brzozowski) mogły swobodnie prowadzić politykę łączenia ognia z wodą, politykę sprzecznych celów. Chcąc dogodzić wszystkim i każdemu z osobna, dążąc do świętej zgody i pojednania, inteligencja polska, osobiście w niczem nie zainteresowana (co jej za plus bywa poczytywane), miała zawsze na oku ciszę, spokój, łagodzenie tarć, zakładanie plasterków, metodę księdza Kneippa. żeby nie bolało, żeby wszyscy byli zadowoleni.

---

[1]) Polityce gospodarczej z okresu, który od nazwisk dwóch głównych reżyserów tej polityki, można by nazwać „erą Koca i Matuszewskiego", dało by się dużo zarzucić, ale jedno jest pewne, że ówczesny liberalizm (swoboda transferu, wypełnianie zobowiązań) harmonizował z nadzieją na współpracę z państwami liberalnymi, z Francją na czele.

I dlatego w Polsce nie było ani polityki naprawdę deflacyjnej, ani polityki naprawdę „nakręcania koniunktury". Trochę autarkii i trochę swobody w transferze. Coś nie coś dla przemysłów wolnych i coś nie coś dla karteli. Przyjazne stosunki z kapitałem zagranicznym i rozbudowa etatyzmu. Bank Polski restrynguje kredyty (a w każdym razie ich nie rozszerza), a jednocześnie plan czteroletni wymaga mobilizacji środków natury inflacyjnej. Ceny ziemiopłodów i drzewa idą b. mocno w górę, ale nie mogą zwyżkować mąka i chleb (za to piekarze dają gorsze pieczywo) lub artykuły budowlane. Autarkizacja (częściowa) wywołuje zwyżkę cen, będącą zresztą warunkiem jej powodzenia, ale zwyżka cen jest potępiona. Jeden resort gospodarczy cieszy się, że dzięki zmniejszeniu importu ryżu ten ostatni podrożeje, drugiemu natomiast resortowi bynajmniej się na śmiech nie zbiera i jeszcze grozi on represjami za świadomie wywołaną drożyznę. Kartele nie mają dobrej opinii, ale mimo to Syndykat węglowy i żelazny nie są rozwiązywane, chociaż był by to jedyny środek na uregulowanie poziomu cen węgla i żelaza.

„Raz na lewo, raz na prawo": można by scharakteryzować nasze posunięcia gospodarcze. Co ciekawsze, na wyraźną, zdecydowaną linię postępowania nie może się zdobyć czynnik tak łatwo się decydujący, jak armia. Nie kto inny, tylko wojsko mogło by powiedzieć, czy w imię interesów obrony narodowej (skoro interesy klasowe są albo nikłe, albo zwalczane) reforma rolna ma być przeprowadzona czy zaniechana, czy należy przemysły kluczowe upaństwowić czy odpaństwowić, czy odwrócić się plecami od kapitału zagranicznego, czy też, przeciwnie, udzielać mu ułatwień transferowych, wycieńczających nasz organizm gospodarczy... Nacisk potrzeb obrony narodowej, rerezentowanych przez armię, jest w Polsce daleko słabszy i węższy, aniżeli to ma miejsce w Niemczech, Włoszech, Japonii itd. i aniżeli to nam się wydaje.

Polską politykę gospodarczą cechuje krótki oddech: koniunkturalność. Stąd zbyt łatwe przerzuty od zwalczania wysokich cen zboża przy pomocy ceł wywozowych do popierania wysokich cen zboża przy pomocy premij i absurdalnej ochrony celnej. W tych przerzutach zapomniano jedynie o fakcie, dość przekonywująco podkreślonym swego czasu przez Józefa Poniatowskiego, o tem, że Polska stoi na granicy samowystarczalności zbożowej. Wystarczyła nieco lepsza koniunktura eksportowa przy nieco gorszych czynnikach urodzaju, a już kraj żyje pod znakiem trwogi: czy wystarczy zboża do końca przednówka? Wydajność z 1 ha jest nadal niedostateczna, zboża mamy za mało; chłop głoduje, kraj nie dysponuje rezerwami ziarna, eksport, tak zyskowny i tak dla... Banku Polskiego niezbędny, trzeba było przerwać. Hasła: o 1 q z 1 ha więcej! nie realizuje się z obawy o ceny, jak gdyby na pierwszym planie nie powinno być wzmożenie produkcji. Mentalność ludzi, wierzących w „klęskę urodzaju", musi być tępiona ogniem i żelazem. I to mentalność tak rolników, jak i przemysłowców (kartele!).

Prowadzimy dzisiaj akcję zwalczania drożyzny. Jest to konsekwencja pewnego punktu widzenia, realizowana w sposób dość umiejętny. Może powstać jedynie pytanie, czy motyw sam przez się zasługuje aż na tak silny nacisk na ceny. Szlachta XVI stul. miała główne zmartwienie: aby sól była tania. W tym problemie mieściła się kwintesencja ówczesnej aktywności gospodarczej.

Rozumiem: na dnie naszej aktualnej polityki gospodarczej leży troska o walutę. Otóż to właśnie: troska. Ciągle drżymy z niepokoju, aby nam się złoty nie załamał. Do zjawiska bezwątpienia arcyważnego przywiązujemy wagę nieomal mistyczną, znacznie większą od tej, na jaką zasługuje. Ze złotym postępujemy tak, jak rodzice ze słabym dzieckiem, na które się chucha, którego się nie wypuszcza z domu w obawie o przeziębienie, zamiast dziecko hartować, trzymać na świeżym powietrzu i w ogóle mniej się nim przejmować. Kwestia walutowa z narzędzia stała się celem, urosła do rzędu zagadnień nadrzędnych. Rządzącej klasie inteligenckiej nie przyjdzie przytem do głowy, że polityka walutowa może być jednym ze środków podziału dochodu społecznego, decydując zarazem o strukturze społeczno-gospodarczej, o rozwoju przemysłu i handlu etc. Stan wkładów w P. K. O. stał się głównym wskaźnikiem i busolą. A jednocześnie histeria tezauryzacyjna nie przestaje wstrząsać organizmem gospodarczym narodu. Jeżeli ludzie chowają pieniądze w... zbożu lub cynie, to tkwi w tem trwały stosunek społeczeństwa do problemu, rozstrzyganego wyłącznie przy zielonym stoliku.

Jeżeli istotnie nasze położenie geo-polityczne jest tego rodzaju, że nie pozwala nam na neo-liberalizm w stylu państw zachodnich (Anglii, Belgii, Francji, krajów skandynawskich), jeżeli naprawdę odrabianie zaległości musi się odbyć w tempie przyspieszonym, z opuszczeniem pośrednich etapów rozwoju kapitalizmu zachodnio - europejskiego, jeżeli wreszcie społeczeństwo polskie nie potrafi samo sobie dać rady i wymaga stałej a wszech-obecnej ingerencji państwa — to w takim razie nie pozostaje nic innego, jak rzucić się z głową na dół (ale z otwartymi oczyma) w odmęty totalizmu z prawej czy lewej strony. Ale i wówczas takie posunięcie musi być wykonane w całej rozciągłości i z pełną konsekwencją. Wtedy organizacja społeczno - narodowa, uzupełniająca państwo, musi być kierowana nie przez liberałów ekonomicznych, lecz przez ludzi, nie wahających się stawiać pewne problemy mocno, chociaż nie dla wszystkich wygodnie.

— A może to wszystko, co była wyżej powiedziane, nie znajduje oparcia w „rzeczywistej rzeczywistości" polskiej? Może polski klimat społeczno - gospodarczy jest równoznaczny z klimatem w dosłownym sensie tego wyrazu? Może w kraju, będącym pod działaniem sprzecznych wiatrów kontynentalnych od wschodu i południo-wschodu, niosących kurz i piasek, co w oczy sypie, i zachodnich wiatrów morskich, wilgotnych i przenikliwych, — nie da się w żaden żywy sposób wyciosać wyraźnego, zdecydowanego oblicza?

Wiemy jednak, że i klimat nie jest czemś niezmiennym. Wiemy także, iż są narody, walczące z wpływem klimatu. I dlatego wierzymy, że Polska zdobędzie się na skrystalizowaną myśl, wyraźne wytyczne i zdecydowany cel działania, porzucając mdłe ścieżki „świętej zgody narodowej", tkliwego zadowolenia (po troszeczku) interesów każdego podwórka, chuchania na zimne i dmuchania na gorące.

„Jeżeli nie będziesz ani zimny, ani gorący, tylko letni, to wypluję cię z uścieech moich"...

UWAGI

„KOSZT WŁASNY" PRACY LUDZKIEJ

W rozgrywce, jaka się odbywa między sferami zainteresowanymi w wysokich cenach towarów a czynnikiem, usiłującym je utrzymać na poziomie odpowiadającym „dobru ogólnemu", przychodzi kolej na towar „praca". Z różnych stron kraju i z różnych dziedzin produkcji nadchodzą codziennie wiadomości o występowaniu robotników z żądaniami podwyżek. Czyżby właśnie te fakty zdecydowały przy wyborze podsekretarza stanu w ministerstwie pracy na przewodniczącego komisji kontroli cen?

Towar „praca" odznacza się, jak wiadomo, tą szczególną właściwością, że wchodzi w skład kosztów własnych wszystkich innych towarów, nadając im wartość dla świata wymiany, w którym żyjemy.

Analiza kosztów własnych każdego towaru jest niezmiernie trudna. Wciąż bywamy świadkami, jak odpowiednio zręczne operowanie temi samemi cyframi doprowadza do wręcz odmiennych wyników, stosownie do ich uszeregowania i oświetlenia. Towar „praca", poza innemi swojemi osobliwościami przedstawia dla analizy swych „kosztów własnych" dodatkową trudność. Materiałem do zanalizowania mogą tu być jedynie t. zw. koszty utrzymania, które można graficznie przedstawić w postaci koszyków tak różnej objętości i zawartości, jak różne jest codzienne menu Anglika i Holendra od garści ryżu lub daktyli albo niezbędne zaopatrzenie odzieżowe i mieszkaniowe mieszkańca północy od przepaski noszonej na biodrach przez podzwrotnikowego kulisa. Ale i zakupy gospodarskie eleganckiej żony montera z elektrowni warszawskiej prezentują się całkiem inaczej niż nędzna „suma" artykułów nabywanych za gotówkę i „na książkę" na wyżywienie liczniejszej zazwyczaj rodziny „placowego", nie mówiąc już nic o zaprawdę symbolicznych koszykach owych „robotników sezonowych" z jakowejś Wileńszczyzny, znajdujących rzadko przygodny zarobek przy naprawie drogi przez samorząd albo podczas zwózki drzewa. Gdzież tu w każdym poszczególnym przypadku szukać kryterium „dobra ogólnego"? gdzie są granice tego, co *dać* można, i tego, co *mieć* należy?

Jakżeż przedstawiają się płace i koszty utrzymania w Polsce w roku powolnej poprawy gospodarczej?

Wskaźnik kosztów utrzymania rodzin robotniczych podniósł się od lutego roku ubiegłego do marca roku bieżącego o 5,7 punktu, niewiele przekraczając 65 wobec 100 w roku 1928. W tym samym czasie wskaźnik kosztów utrzymania pracowników umysłowych wzrósł tylko o 2,6 punktu, dzięki obniżeniu przez rząd tych świadczeń, z których u nas robotnicy korzystają, niestety, tylko w wyjątkowych wypadkach (elektryczność, gaz), oraz skutkiem tego, że zwyżka cen artykułów żywnościowych dotknęła silniej budżet robotnika (o 7,8 wobec 5,6). Wiadomo: im skąpszy budżet, tem większą pozycję zajmują w nim wydatki na żywność. Niezbyt rozległe z konieczności badania, przeprowadzone u nas nad budżetami robotniczymi przed mniej więcej 10 laty, określają udział wydatku na żywność w budżecie polskiego robotnika na jakieś 70%; kryzysowe obniżki płac, które można liczyć średnio na jedną piątą, niewątpliwie udział ten podniosły, mimo jednoczesnego poważnego spadku cen artykułów żywnościowych.

Obliczenia oficjalne, na których się opieramy w ciągu całego wywodu niniejszego, dowodzą, że przeciętna płac realnych tj. zdolność nabywcza rodziny robotnika zarobkującego, mimo stwierdzonej skądinąd obniżki płac, jest o przeszło 25% wyższa niż w 1928 roku pomyślnej koniunktury. Wskazywałoby to na przedwczesność „występowania o podwyżki" ze strony robotników, na celowość w opóźnieniu pożądanego zasadniczo podniesienia zdolności nabywczej mas miejskich ze względu na stabilizację cen. Wszystko to byłoby słuszne, gdyby nie...

Wciąż te same źródła obliczają wartość realną *globalnych* wypłat robotniczych w przemyśle na mniej niż 88% wartości tychże wypłat w 1928 r. Czyli że:

1) zdolność nabywcza danej warstwy jest mniejsza obecnie z górą o 12%, jakkolwiek w punkcie wyjściowym obliczenia znajdowała się już na wyjątkowo niskim poziomie — co pogłębia nieskoordynowanie siły nabywczej z interesem całości gospodarczej;

2) tzw. warstwa robotnicza wzrosła od roku 1928 i wciąż rośnie liczebnie z roku na rok i to w tempie o wiele szybszym od ogólnego przyrostu ludności (w latach obecnych wchodzą nadto na rynek pracy szczególnie liczne roczniki młodzieży, która przyszła na świat w latach powojennych) — suma wypłat przeto rozłada się faktycznie — zwłaszcza wobec szczupłych możności naszej pomocy dla bezrobotnych i opieki społecznej — na coraz większą liczbę jednostek do wyżywienia, o wiele przekraczającą obserwowany przyrost zatrudnienia. „Koszyk", mniej lub lepiej napełniony musi wystarczać w każdej rodzinie nietylko na swoich najbliższych, ale i na krewniaków bezrobotnych (paradoks jednoczesnego wzrostu zatrudnienia i bezrobocia, tego ostatniego zresztą w stopniu znacznie silniejszym);

3) przy kalkulacji kosztów własnych towaru „praca" zwyżkująca cena chleba nabiera szczególnego „posmaku", przeradzającego się w głębokie reakcje natury uczuciowej, prowadzące częstokroć do nieoczekiwanych, odruchów masowych. Dlatego właśnie zarządzenia administracyjne, sceptycznie oceniane przez ekonomistę, mają bezwarunkowo dodatnią wartość w oczach socjologa.

Stanowczo nie z przypadku dział Traktatu Wersalskiego, stwarzający podstawy ideowe dla powojennych stosunków socjalnych, rozpoczęty został efektownym, pozornie zdawałoby się czysto teoretycznym aforyzmem: „Praca nie jest *tylko* towarem". I nie przypadkowo to państwo, które siłą faktów dokonało rewizji Traktatu Wersalskiego wprowadziło do swego ustroju podstawową zasadę, zaprzeczającą pracy całkowicie charakteru towaru, a jednocześnie — powołało do życia organ do ustalania płac z góry „w imię dobra ogólnego". *i. k.*

CENY

Hasło niskiej ceny jest najbardziej spopularyzowanym w Polsce hasłem polityczno-gospodarczym. Można byłoby w tem dopatrywać się przejawów trzeźwości czy nawet dojrzałości gospodarczej społeczeństwa polskiego, gdyby nie to, że o tej postawie naszej opinii decyduje poprostu przewaga czynnika konsumenckiego, przewaga czynnika pracowników najemnych, nie sięgających bynajmniej po złożone rozumowania by dostrzec walory niskiej ceny. Jakiekolwiek byłoby źródło tej postawy naszej opinii, ma ono niewątpliwie wartość, stwarza bowiem przeciwstawienie dla nacisku zainteresowanych grup producentów, dążących do ceny wysokiej. Oczywiście przeciwstawiając te dwa stanowiska nie zamierzam powracać do naiwnego rozróżnienia pomiędzy polityką pro-konsumencką, mającą rzekomo polegać na utrzymywaniu niskiego poziomu cen, i pro-producencką, zmierzającą do podwyższenia poziomu cen. Pomijając już fakt, że wielka część konsumentów jest jednocześnie producentami, że konsumenci nie składają się z samych tylko pracowników najemnych o uposażeniach stałych, — pomijając nawet fakt, że ruch cen zawsze odbija się na ruchu płac, — trzeba przecież stwierdzić, że zwyżkowe lub zniżkowe wahania cen oddziaływają bardzo rozmaicie na sytuację poszczególnych grup konsumentów i producentów w zależności od fazy koniunkturalnej, w jakiej następują i grupy towarowej, którą obejmują.

O ile jednak istotne interesy konsumentów i producentów nie dają się tak po prostu odróżnić i przeciwstawić, o tyle bardzo łatwo rozróżnić ich żądania. Konsumenci żądają niskich cen na wszystkie towary, z wyjątkiem pracy (jako, że ta „nie jest tylko towarem"). Producenci żądają wysokich cen na towary, które produkują — jest to właściwie równoznaczne, (a tylko brzmi mniej niepopularnie), z żądaniem niskich cen na wszystkie towary oprócz produkowanego przez tego właśnie producenta. Ponieważ prawie dla wszystkich producentów złoto jest tym „innym" towarem, przeto żądania wszystkich producentów zbiegają się w jednym punkcie: w żądaniu niskiej ceny złota.

Nie przeceniając w tym świetle wartości i wagi żądań wysuwanych przez grupy czy to konsumenckie, czy producenckie, żądań, które rzecz prosta silniej akcentują moment walki o podział dochodu społecznego, niż jego zwiększenia, nie sposób, jakeśmy to stwierdzili wyżej, odmówić pewnej roli politycznej żądaniom konsumenckim. Rola ta może być pozytywna, bywa jednak również i niebezpieczna. Jeśli się zważy, jaką przewagę we wpływaniu na politykę gospodarczą posiadają grupy najlepiej zorganizowanych producentów, a więc świat wielkich karteli i monopoli, twierdzić można napewno, że w stosunku do tych ugrupowań rola opinii publicznej, pozostającej pod silnym naciskiem nastawienia konsumenckiego jest zawsze przeciwwagą pożądaną, acz niedostateczną.

Bardziej kłopotliwa sytuacja powstaje wtedy, gdy jak to np. widzimy w tej chwili, na tle wzrostu cen żywności zaczyna się przeciwstawiać hasło niskiej ceny artykułów spożywczych hasłu podniesienia poziomu opłacalności w rolnictwie. Przeciwstawienie tych dwu haseł jest czemś w rodzaju walki o poziom płac na wsi i w mieście. Zwyżka cen płodów rolnych prawie zawsze grozi zmniejszeniem płacy realnej robotników, zahamowanie tej zwyżki prowadzić może do utrzymania wynagrodzenia za pracę chłopa, tkwiącego w danej cenie produktów rolnych, na obecnym katastrofalnie niskim — niższym od płac miejskich — poziomie. Ten spór dwuch słabych ekonomicznie warstw o poziom płac jest tem niebezpieczniejszy, że łatwo może być wyzyskany przez czynnik trzeci dla odwrócenia uwagi od zagadnienia cen skartelizowanych, których wzrost w budżecie robotniczym nie uwidacznia się tak bezpośrednio i tak silnie mimo olbrzymiej wagi ogólnogospodarczej.

Hasło obniżki cen po za temi rozgrywkami o *„pokrajanie bochenka"* ma jeszcze jeden aspekt, najważniejszy wogóle, a dla polityki koniunkturalnej decydujący. Mam na myśli wpływ polityki cen na *poziom* dochodu społecznego.

I pod tym kątem zresztą treść istotna polityki obniżania, względnie hamowania wzrostu cen nie zawsze jest indentyczna. Wpływ tej polityki na wielkość dochodu może być różny nie tylko pod względem stopnia, ale nawet i kierunku, w zależności od gałęzi produkcji takiem działaniem objętych, fazy koniunkturalnej, w jakiej ono następuje, a nawet środków dla danego celu użytych. Wskutek tego też np. istnieje diametralna różnica pomiędzy zagadnieniem obniżenia cen, względnie zahamowania ich wzrostu w chwili dzisiejszej, a hasłem obniżki cen wysuwanym dwa lata temu. Obok różnic są oczywiście i pewne elementy wspólne. Takim elementem jest np. zagadnienie wzmagania naszej konkurencyjności w stosunku do zagranicy, albo też usuwania przerostów w kosztach własnych przez obniżanie cen. Zarówno jedno jak drugie, bez względu na fazę koniunktury, bez względu na użyte środki itp. zawsze sprzyja zwiększeniu dochodu społecznego. Natomiast z punktu widzenia rozwoju koniunktury wewnętrznej nie jest już obojętne użycie tych lub innych środków. Np. propagowane przed laty obniżanie cen przez deflację kredytowo-pieniężną nie okazało się i nie mogło być środkiem sprzyjającym poprawie koniunktury. Natomiast obniżenie środkami przymusu cen związanych względnie przywracanie wolnej konkurencji przy równoczesnym zaniechaniu deflacji musiało dać i dało też wyniki pozytywne.

Kampania o niskie ceny, tocząca się w tej chwili, zawiera w sobie oczywiście cały zespół elementów, a więc i elementy rozgrywki o podział dochodu społecznego i elementy związane z tą koncepcją polityki koniunkturalnej, której hołduje Rząd. Koncepcja ta to dążenie do koniunktury ilościowej. Oczywiście, że w obliczu wzrostu cen na świecie i w Polsce w literalnym znaczeniu tego słowa o koniunkturze ilościowej nie sposób mówić; zresztą w założeniu koncepcja koniunktury ilościowej jest tylko pewną tendencją, nie zawiera w sobie założenia pełnej statyki cen, a stawia za zadanie jedynie hamowanie dynamiki cen, by uzyskać tem większą dynamikę wytwórczości. Akcja w zakresie cen jest niewątpliwie akcją pilną, nie należy się jednak łudzić, aby była akcją krótkotrwałą. Właśnie dlatego jednak, że prawdopodobnie akcja ta potrwa nieco dłuższy okres czasu — staje się niezmiernie doniosłym wyprecyzowaniem motywów kierowniczych

tej akcji, wybranie jednej z możliwych interpretacyj hasła obniżki cen. Dotychczasowa dyskusja grzeszy, jak sądzę, nadmierną ryczałtowością ujęcia, to też pomimo rozpoczęcia akcji rządowej stoimy właśnie dopiero przed fazą pogłębionej dyskusji publicznej na ten temat.

t. k.

POZIOM CEN, A RENTOWNOŚĆ

1. żyjemy w ustroju, w którym głównym motywem działania znacznej części podmiotów gospodarujących jest osiąganie rentowności zarazem

a) bezpośredniej,

b) natychmiastowej.

2. Pragniemy tu w kilku słowach podkreślić doniosłość rozróżnienia rentowności bezpośredniej i natychmiastowej. Możemy przeprowadzić dwa niezależne od siebie dwupodziały rentowności procesów gospodarczych

a) rentowność bezpośrednia i rentowność pośrednia,

b) rentowność natychmiastowa i rentowność odroczona.

Przez skombinowanie tych obu dwupodziałów otrzymujemy następujący czwórpodział (tetrachotomię):

1) rentowność bezpośrednia natychmiastowa,

2) „ „ odroczona,

3) „ pośrednia natychmiastowa,

4) „ „ odroczona.

W konsekwencji, stwierdzając w punkcie 1., że znaczna część podmiotów gospodarujących dąży do osiągnięcia rentowności bezpośredniej i zarazem natychmiastowej, powiedzieliśmy istotnie więcej, niż gdybyśmy stwierdzili *tylko* dążenie do osiągnięcia rentowności bezpośredniej, albo też gdybyśmy mówili *tylko* o rentowności natychmiastowej.

3. Do zbiorowości podmiotów gospodarujących, scharakteryzowanej w punkcie 1 zaliczyć u nas należy przedsiębiorstwa przemysłów surowcowych, nawet i te nieraz, które w ten czy inny sposób stanowią w pełni lub w części własność publiczną, w szczególności państwową.

4. Przeżywamy okres zwyżki ogólnego poziomu cen światowych i krajowych, dość zresztą charakterystyczny (ale wątpliwe czy absolutnie konieczny) dla bieżącej fazy ogólnej koniunktury gospodarczej.

5. Na tle zjawiska opisanego w punkcie poprzednim, przedsiębiorstwa scharakteryzowane pod 1., w szczególności przedsiębiorstwa przemysłów surowcowych, wymienione pod 3, dążą do podwyższenia swej natychmiastowej i bezpośredniej rentowności przez podwyższenie cen zbywanych wyrobów, lub przynajmniej do utrzymania tej rentowności, zagrożonej przez dokonaną już podwyżkę cen towarów przez nie zakupywanych, pochodzenia zagranicznego (np. rudy) lub krajowego (np. drzewo).

6. Stan faktyczny, opisany w punktach: 1, 3 oraz 5 nasuwa pewne refleksje krytyczne, które poniżej zamierzamy sformułować. Refleksje te wydają się celowe zarówno ze względu na punkt widzenia z którego zostaną sformułowane jak również ze względu na to, że istnieją możliwości skutecznego normowania zarówno ogólnego poziomu cen, jak i cen poszczególnych dóbr. Oba te momenty zostaną rozwinięte w punktach bezpośrednio następujących.

7. Sądzimy, że obowiązkiem polityki gospodarczej jest dbałość o możliwie długotrwałą pomyślną koniunkturę, choćby kosztem tempa wzrostu koniunktury, sądzimy ponadto, że troską polityki gospodarczej powinno być osiąganie trwałego wzrostu dochodu społecznego, a nie jego gwałtownych „wyskoków", bardzo nierównomiernie rozdzielanych między poszczególne warstwy społeczne. Z tego punktu widzenia zamierzamy właśnie sformułować nasze refleksje.

8. Wbrew stanowisku krańcowych liberałów stwierdzić należy, że państwo może (w pewnych oczywiście granicach) normować poziom cen pod warunkiem, że zgodnie z zasadą podziału ryzyka zastosuje dostatecznie różnorodny zespół środków działania i to zarówno różnych środków administracyjnych jak i rozmaitych środków, polegających na uruchamianiu automatyzmów procesów gospodarczych.

9. Nie zamierzamy tu krytykować stwierdzonego w punkcie 1. stanu faktycznego. Nie zamierzamy zastanawiać się w obrębie notatki niniejszej, czy wskazana jest przebudowa ustrojowa, zmierzająca w kierunku rozszerzenia lub zwężenia zbiorowości przedsiębiorstw, scharakteryzowanych pod 1., w szczególności zaś (w związku z punktem 3) nie będziemy się zastanawiali, czy wskazany jest (a może nawet czy dopuszczalny jest) taki stan rzeczy, w którym przedsiębiorstwa przemysłów surowcowych, a więc przemysłów o charakterze kluczowym, należały do omawianej zbiorowości, czy też przeciwnie przemysły surowcowe powinny dążyć do osiągania rentowności pośredniej tylko, natychmiastowej lub może nawet odroczonej.

10. Zamierzenia nasze ograniczają się jedynie do krytycznego omówienia tendencji zwyżki cen, ewentualnie dalszej zwyżki cen pod założeniem, że stan rzeczy, scharakteryzowany w punktach 1 i 3 utrzyma się przynajmniej przez okres lat najbliższych.

11. Każda zmiana w życiu gospodarczym pociąga za sobą zarówno korzystne, jak i niekorzystne konsekwencje. Gdyby nie ten „drobiazg" polityka gospodarcza była by umiejętnością dość łatwą. Nie zamierzamy przeczyć, że dalsza podwyżka poziomu cen dała by również pewne korzystne rezultaty. Chodzi jednak o to, aby zestawić je ze skutkami niekorzystnymi.

12. Będziemy odróżniali dwa rodzaje zwyżki cen

a) jednostkową (jednobranżową),

b) ogólną,

zdając sobie przy tem sprawę z nieścisłości i niezupełności tego podziału. Mówiąc o ogólnej zwyżce cen mamy na myśli podwyższenie cen nietylko dóbr, ale również i ceny pracy najemnej (płace) oraz kredytu bieżącego (stopa efektywnego oprocentowania).

13. Gdyby się udało danemu przedsiębiorcy (np. monopolowi) lub gdyby się udało danej branży (np. branży skartelizowanej) podwyższyć ceny tylko sprzedażne, to niewątpliwie nastąpił by wzrost natychmiastowej i bezpośredniej rentowności danego przedsię-

biorstwa lub branży. Jednakże pamiętać o tem należy, że wzrost cen jest zjawiskiem wybitnie „zaraźliwym”. Jednostkowa podwyżka cen jest niemal niemożliwa, pociąga ona z olbrzymią szybkością za sobą ogólną zwyżka cen. Tempo rozrostu „epidemii“ jest zapewne szczególnie wtedy szybkie, gdy punktem wyjścia zwyżki jest przemysł surowcowy, a to ze względu na jego kluczową rolę.

14. Jeżeli nawet w pewnych b. szczególnych warunkach indywidualna podwyżka cen jest możliwa, to wzrost bezpośredniej rentowności danej branży jest pewnym przedsięwzięciem w podziale dochodu społecznego, przesunięciem nieraz z ogólnego punktu widzenia niekorzystnym, zwłaszcza wtedy, gdy polega ono na zwiększeniu nierównomierności podziału dochodu społecznego.

15. Trzeba wprawdzie przyznać, że ogólny wzrost cen wpływa, na ogół biorąc, ożywiająco na całość gospodarstwa narodowego, gdyż

(a) stwarzając sugestię dalszego wzrostu cen pociąga za sobą zakupy antycypacyjne,
(b) ułatwia przedsiębiorcy spłatę dawnego zadłużenia,
(c) zachęca przedsiębiorcę do rozwinięcia działalności, przez stwarzanie zysków *nominalnie* (choć niekoniecznie realnie) rosnących.

Przyznać trzeba, że ogólny wzrost cen może *via* wywołane ożywienie pociągnąć za sobą wzrost bezpośredniej i natychmiastowej (lub minimalnie odroczonej) rentowności (nietylko nominalnej, ale również i realnej) przedsiębiorstw.

Jednak z drugiej strony czynniki (a) i (c) są tymi właśnie, które zwiększając tempo narastania poprawy pośrednio przyczyniają się do gwałtownego później załamania koniunktury.

16. Polityka cen liczyć się musi z faktem istnienia obowiązującego państwowego planu inwestycyjnego. Plan ten ma na celu pewną zmianę strukturalną polskiego gospodarstwa narodowego, a więc ostatecznie ma on na celu trwały wzrost dochodu społecznego. Dostatecznie silny i szybki wzrost cen może poważnie naruszyć realność planu. Można by wprawdzie starać się uzasadnić tezę, że wzrost cen pociągnie za sobą via ożywienie taki wzrost (nominalny) bazy finansowania planu, że realność planu nie zostanie zachwiana, jednak tezę tę było by b. trudno uzasadnić w sposób dostatecznie pewny i precyzyjny (chodzi tu o przewidywania natury ilościowej, a nie tylko jakościowej), ponadto pewne groźne ze społecznego punktu widzenia (rozładowywanie bezrobocia) zaburzenia w rozłożeniu faz realizacyjnych planu wydają się w wypadku takiej zwyżki cen niemal nieuniknione.

17. Realizowanie tendencji hamowania wzrostu cen dać może w obecnej fazie koniunktury zwiększenie możliwości zbytu na rynkach zagranicznych, szybkie rozszerzenie rynku wewnętrznego i realizację zamierzeń w zakresie państwowego planu inwestycyjnego. W ten sposób hamowanie wzrostu cen zwiększy dochód społeczny i przyczyni się pośrednio do wzrostu rentowności nawet bezpośredniej poszczególnych przedsiębiorstw, nie natychmiastowej coprawda, lecz odroczonej, za to do wzrostu bardziej trwałego zapewne.

H. Pniewski.

KALKULACJA AUTARKII

Czyż może być mowa o kalkulacji w sprawie, która dla jednego odłamu opinii jest celem sama w sobie, postacią dążenia do niepodległości gospodarczej kraju, dla drugiego zaś tendencją w założeniu antygospodarczą, prowadzącą do zubożenia? — Słowem, czy można mówić o kalkulacji w odniesieniu do sprawy stawianej w sposób jaknajbardziej zasadniczy, ściśle związanej nietylko z programowymi założeniami gospodarczymi, lecz i z szeregiem zagadnień pozagospodarczych zupełnie pierwrzorzędnej wagi? — Sądzę, że tak.

Co więcej — sądzę, że w sprawie dążenia do samowystarczalności surowcowej przeżywamy te same fazy, jakie przechodzi każda niemal dyskusja gospodarcza. Zaczyna się od dedukcyjnego, pryncypialnego postawienia sprawy, co doprowadza zawsze do stanowisk diametralnie sprzecznych. Z kolei sumienniejsze umysły zaczynają dostrzegać odcinkowe problemy, odcinkowe fakty, prowadzące do wniosków sprzecznych z przyjętym poprzednio założeniem ogólnym. Poprzez analizę konkretnych wypadków dochodzi się do próby kalkulowania, do próby ściślejszej oceny plusów i minusów danej tendencji polityczno-gospodarczej, aby wreszcie znaleźć ogólne sformułowanie, oparte już nietylko o generalne przesłanki, lecz uwzględniające realne warunki czasu i miejsca. Wydaje mi się, iż zagadnienie dążenia do samowystarczalności weszło w tę właśnie fazę, że chwała Bogu skończyliśmy z dyskusjami nadmiernie pryncypialnemi, a jednocześnie mamy też za sobą etap odcinkowego rozpatrywania poszczególnych spraw.

Zdajmy sobie przede wszystkim sprawę ze skali zagadnienia. Nie mamy już w Polsce złudzeń, aby teren dla dążeń autarkicznych w dziedzinie surowcowej mógł być bardzo szeroki. Tem samem jednak odpadło pomawianie zwolenników dążenia do samowystarczalności o fantastykę — wiemy, że chodzi o kilka czy kilkanaście artykułów szczególnie ważnych z punktu widzenia obrony, a posiadających pewne, choć może nie nazbyt korzystne warunki rozwoju w kraju, wiemy również, że nawet w zakresie tych artykułów przeważnie nie chodzi o stuprocentowe wyeliminowanie importu, a jedynie o wyższą miarę wykorzystania surowca krajowego.

Poza tym elementarnym wyjaśnieniem problemu mamy jeszcze dorobek dalej idący. Możemy dokładnie określić miarę ofiar, jakie dziś warto i należy ponieść w imię autarkii nawet gdyby nie przemawiały za nią żadne szersze względy gospodarcze i pozagospodarcze. Miara ta jest prosta, a wynika z naszej sytuacji dewizowej. Jeśli stwierdzamy, że znajdujemy się na odcinku dewizowym w sytuacji przymusowej, że dla zdobycia dewiz, dla sprostania nieuchronnym zapotrzebowaniom dewizowym, musimy ponieść cały szereg kosztów, musimy nakładać na życie gospodarcze bezpośrednio lub za pośrednictwem budżetu cały szereg obciążeń, słowem, jeśli stwierdzamy, że istnieje pewien koszt zdobycia dewiz — to jest przecież rzeczą jasną, że zastąpienie towaru obcego krajowym, droższym od importowanego o kwotę odpowiadającą kosztowi zdobycia dewiz, napewno z każdego punktu widzenia kalkuluje się gospodarstwu społecznemu. Nie wydać dewiz to przecież to samo, co je zdobyć, a zatem musimy stosować tę samą miarę do posunięć umożliwiających zaoszczędzenie dewiz, jaką stosuje-

my do ich zdobywania. Z punktu widzenia gospodarstwa społecznego towar krajowy droższy od importowanego o kwotę, odpowiadającą kosztowi zdobycia dewiz, droższym nie jest. Poprostu tylko obciążenie, wynikające z tytułu naszej sytuacji walutowej w danym wypadku rozkłada się inaczej, w sposób łatwiej dostrzegalny niż to ma miejsce z obciążeniem, wynikającym z forsowania eksportu. Dla okresu bieżącego niewątpliwie da to bardzo ważką wskazówkę praktyczną, pozwalającą twierdzić, że pewne zabiegi autarkiczne nie wymagają żadnej dodatkowej legitymacji, jeśli tylko utrzymują się w ramach wskazanej wyżej skali obciążenia.

Czy wolno jednak to samo rozumowanie odnieść do dłuższego okresu czasu, okresu, o którym nie możemy twierdzić, iż będzie nacechowany równymi trudnościami na odcinku dewizowym? — Należałoby przede wszystkim stwierdzić, że pojęcie trudności dewizowych powinno być w tym wypadku traktowane szerzej, że nie powinno być identyfikowane z koniecznością stosowania ograniczeń w obrocie dewizowym. Jeśli mówimy o dalszym dystansie stosunków, to oczywiście nie potrzebujemy brać pod uwagę reglamentacji dewizowej, która jest z natury rzeczy środkiem przejściowym, natomiast zagadnienie przenosi się w płaszczyznę szerszą bilansu płatniczego Otóż pod tym kątem wydaje się, że kwestia „trudności dewizowych" nie jest zagadnieniem krótkofalowym. Dlaczego?

Z samego faktu, że jesteśmy krajem dłużniczym nic by jeszcze nie wynikało. Natomiast trzeba uwzględnić, że właściwie we wszystkich krajach, przechodzących pierwsze stadia współczesnego rozwoju gospodarczego, spłata zobowiązań dokonywała się w drodze zaciągania zobowiązań nowych. Proces ten trwa bardzo długo i nie ulega wątpliwości, że nasz rozwój gospodarczy nie doszedł jeszcze do tej fazy, w której zlikwidowanie zobowiązań bez uzyskania nowych kredytów byłoby łatwe. Natomiast niestety moment rozbudowy przemysłu, uwspółcześniania naszej gospodarki, przypadł na okres, kiedy kredyt międzynarodowy stał się niezmiernie trudny do uzyskania. To też bardzo trudno jest mniemać, że napływ nowych kredytów stanowić będzie przeciwwagę dla obsługi zobowiązań dawniejszych. Zagadnienie to staje się tem trudniejsze, że z szeregu przyczyn, o których tu nie miejsce mówić, inna forma dopływu kapitałów, a mianowicie inwestowanie przez kapitalistów zagranicznych w produkcji polskiej, nie zdaje się wchodzić na większą skalę w grę.

Z tych też względów obciążenie naszego bilansu płatniczego pozycją obsługi zobowiązań musimy traktować jako obciążenie efektywne, jako trwałe zapotrzebowanie dewiz, które będą musiały być wygospodarowane w innych działach bilansu płatniczego.

Kolejny dział tego bilansu, domagający się rozpatrzenia, to zagadnienie przesyłek emigracyjnych. I tu znów musimy stwierdzić, że poza ewent. poprawą, wynikającą z koniunktury światowej, nie możemy liczyć na zwiększenie się dochodu z tego źródła. Emigracja jest od kilku lat całkowicie właściwie zahamowana. Jest rzeczą nieuchronną, że stare roczniki emigracyjne stopniowo tracą związek z krajem i wysoki poziom przesyłek od emigrantów może być utrzymany tylko pod warunkiem stałego podtrzymywania emigracji. W pozycji dochodów z tranzytu autarkizacja naszego sąsiada wschodniego nie pozwala nam oczekiwać łatwego i szybkiego wzrostu. Słowem, nie rozpatrując sprawy bardziej szczegółowo, musimy stwierdzić, że odcinek towarowy stanowi jedyną naszą mocniejszą pozycję.

Wprawdzie i na tym odcinku następować mogą i po części muszą procesy, hamujące możliwość wygospodarowywania nadwyżki dewizowej. I tak np. naruszanie przez lasy prywatne substancji leśnej z pewnością nie pozwala liczyć się z utrzymaniem poziomu eksportu z lasów prywatnych. Na odcinku zbożowym tak pożądany, czy wręcz niezbędny z innych względów, zanik podaży i eksportu głodowego dewizowo oznacza redukcję wpływów. Z drugiej strony jednak niewątpliwie mamy dalsze możliwości rozwoju wywozu w dziedzinie artykułów zwierzęcych, stanowiących jak wiadomo najmocniejszą, najbardziej opartą o naturalne warunki pozycję wywozową, mamy przynajmniej potencjalne możliwości przy wywozie artykułów przemysłowych, pochłaniających szczególnie wielką ilość tak u nas taniej pracy.

Jakkolwiek by było, to w każdym razie już z tej pobieżnej analizy wynika, że zagadnienie zrównoważenia naszego bilansu płatniczego bez uciekania się do wysyłek złota nie jest zagadnieniem również i na dluższy dystans łatwym. Stąd też wydaje się w pełni uzasadniony wniosek, że przy każdym pogorszeniu koniunktury światowej, przy każdym zwężeniu rynków zbytu, będziemy narażeni na poważne trudności dewizowe, że problem kosztów zdobycia dewiz przez forsowanie wywozu w warunkach niekorzystnych będzie u nas powracał jeszcze niejednokrotnie. Jeśli zatem ten miernik, który dla skalkulowania autarkii stosujemy w tej chwili, może nie być zawsze stosowalny, to w każdym razie będzie on stosowalny często. Stąd wolno mniemać, że i na dłuższy dystans pod pewnymi względami zagadnienie autarkii surowcowej będzie się przedstawiało podobnie jak i dzisiaj.

Jeśli jednak pragniemy rozumować na ten właśnie dłuższy dystans, to nie możemy się ograniczyć do tego tylko punktu widzenia. Bez wątpienia jednym z najpoważniejszych czynników, wzmagających dążenie do samowystarczalności surowcowej, jest zagadnienie obronności. Utartym zwyczajem stawia się tę sprawę obok momentów gospodarczych (przed albo za), tak jakby nie istniała żadna możność gospodarczego wyważenia tego problemu. Oczywiście nie sposób go „przekalkulować na cenę", można jednak stwierdzić, że na tle kwestii obrony występują pewne aspekty czysto gospodarcze samowystarczalności surowcowej, dające się „przeliczyć na pieniądze". Zabezpieczenie obronności wymaga mianowicie utrzymywania zapasów w kraju w odniesieniu do tych surowców, których w kraju nie produkujemy. Jeśli zatem stwarzamy nie zapas w postaci magazynów, a potencjalny zasób w postaci uzdolnienia kraju do produkowania danego towaru, jeśli w konsekwencji zwalnia nas to w pewnej mierze od utrzymywania zapasu surowca importowanego, to przepłacenie za surowiec krajowy o sumę równą kosztom oprocentowania kapitału i kosztom magazynowania surowca importowanego, nie jest jeszcze obciążeniem gospodarstwa społecznego.

Można też rozumować, że zabezpieczenie sobie podaży surowca krajowego zwalnia określoną sumę dewiz, która nie będzie musiała być użyta na tworzenie

rezerw surowcowych, a tem samem zwalnia nas od potrzeby odtwarzania wydatkowanych dewiz przez forsowanie eksportu i ponoszenie związanych z tem kosztów zdobycia dewiz.

Trwały, czy raczej mogący często w przyszłości powracać moment w zagadnieniu samowystarczalności surowcowej stanowi wreszcie kwestia równowagi w podziale dochodu społecznego pomiędzy rolnictwo a przemysł. W danym wypadku słowo „rolnictwo" jest synonimem dziedziny, wytwarzającej zastępcze surowce.

W kraju, w którym dążenie do przyśpieszenia postępów uprzemysłowienia zrodziło i podtrzymuje protekcjonizm celny, w kraju zależnym jeśli chodzi o ceny rolnicze od rynku światowego i odciętym barierą celną od tego rynku w zakresie artykułów przemysłowych, zagadnienie przywracania równowagi w podziale dochodu między przemysł a rolnictwo musi powracać przy każdym kryzysie, a nawet może powracać w okresach lepszej koniunktury, lecz w wypadku jednostronnej polityki protekcji przemysłowej. Pewne uniezależnienie choćby częściowe rolnictwa od fluktuacyj rynków zagranicznych, nawet jeśli jest połączone z pewnym obciążeniem gospodarczym, staje się w tych warunkach poprostu odwróconą stroną medalu ochrony celnej na wytwory przemysłowe, tak jak odwróconą stroną medalu były zwroty ceł przy wywozie zbóż. Dając rolnictwu pewne oparcie na rynku wewnętrznym, sięgnięcie do surowców krajowych może zwalniać czy zmniejszać potrzeby innych mniej czy bardziej kosztownych środków przywracania zachwianej równowagi.

Przytoczyliśmy wyżej kilka argumentów, wskazujących na to, że chociaż dążenie do samowystarczalności gospodarczej zrodzone zostało przez kryzys, lecz wolno je uważać za dążenie trwalsze, niezależne nawet od pozagospodarczego znaczenia sprawy w płaszczyźnie militarnej.

Kończąc te wywody, pragniemy wskazać na pewną anomalię, jaka wytworzyła się w opinii publicznej. Zagadnienie surowców przez większą część opinii traktowane jest odrębnie od zagadnienia protekcjonizmu przemysłowego. Można zacytować przykłady zwolenników autarkii surowcowej, zwalczających cła ochronne dla przemysłu, — vice versa, wśród propagatorów protekcjonizmu przemysłowego przeważają przeciwnicy protekcji w dziedzinie surowcowej. Jest to oczywiście stanowisko pozbawione logiki. Ten sam umiar i to samo uwzględnianie rzeczywistej rzeczywistości powinno cechować stanowisko w obu tych sprawach. W obu bowiem występują w zasadzie te same pro i te same contra. Z tą tylko (grającą na obie strony różnicą), że surowce są zawsze niezbędne.

a. u.

ROLNICTWO A WOJNA

Tak zwana rzeczywistość jest niesłychanie skomplikowana. Dla ułatwienia sobie pojmowania rzeczywistości ludzkość dzieli ją na odrębne działy, będące przedmiotem badań poszczególnych gałęzi nauki. Każda nauka w swoim zakresie stwarza teorie, pojęcia i terminologię, jako uproszczenia poszczególnych procesów, zjawisk i faktów. Taka metoda pracy jest i konieczna i pożyteczna, jeśli tylko ludzie nie zapominają, że jest to ułatwienie sobie pracy, względnie upraszczanie tej pracy i jeśli się im nie wydaje, że tą drogą można uprościć samą rzeczywistość. Bo rzeczywistość uprościć się nie da i nie da się również taktycznie rozparcelować na poszczególne zagadnienia, bo jest niepodzielna.

Ta prawda bardzo jednak często ulatnia się ze świadomości ludzi, zwłaszcza zaś ludzi trudniących się zawodowo pracą naukową i wszelkiego rodzaju twórczością myślową. Metoda pracy wypiera na drugi plan cel pracy, aż do momentu konfrontacji z rzeczywistością. Taką konfrontacją jest np. wojna. To też autor niniejszego w swych rozważaniach bardzo często zwraca się myślą ku wojnie, bo wówczas wychodzi na jaw i skomplikowanie i niepodzielność rzeczywistości, wówczas okazuje się np., że nie ma zjawisk czysto gospodarczych, że jest to tylko jedna z wielu powiązanych ze sobą stron życia narodowego, obejmującego również socjalne, moralne, indywidualnie i zbiorowo - psychiczne, wreszcie biologiczne przejawy życia ludzkiego.

Tymczasem w pracy podczas pokoju zapomina się o tem. A ponadto jeśli chodzi o umysłowość polską, to cechuje ją specyficzne pojmowanie podstawowej zasady gospodarowania: minimum wysiłku, maksimum rezultatu. Obserwując polskie życie, łatwo spostrzeżemy, że u nas kładzie się główny nacisk na minimum wysiłku, a nie na maksimum rezultatu. I w praktyce z X możliwych rozwiązań sprawy, wybiera się przeważnie nie najlepsze, ale najłatwiejsze, wymagające najmniej wysiłku. Ta sama zasada stosowana w pracy myślowej doprowadza do paradoksalnych czasem rezultatów: jeśli ktoś, kto nie ma sam działać, ma stworzyć koncepcję myślową działania, to często tworzy taką koncepcję, która jest najłatwiejsza i najefektowniejsza do przedstawienia w postaci konstrukcji myślowej, ale w zastosowaniu praktycznym nie daje ani minimum wysiłku, ani maksimum rezultatu.

Tak długi wstęp napisałem poto, by oświadczyć, że nie mogę bez poważnych zastrzeżeń przyłączyć się do zgodnego dotychczas chóru pochwał prasy i publicystyki dla książki p.p. S. Rostworowskiego i S. Stablewskiego, p.t. „Rolnictwo a Wojna".

Prawda, książka ta jest pierwszym w naszym piśmiennictwie ekonomicznym na dużą skalę postawieniem problemu przygotowań wojennych na odcinku rolniczym, a początek jest droższy od pieniędzy, jak mówili rosyjscy kupcy. Ten fakt mówi również dużo o trudnościach, z jakimi musieli walczyć autorzy w swej pracy. Sądząc z przytoczonej literatury, wykonana praca była duża, godna prawdziwego szacunku.

Ale książka ta ma ten poważny brak, że nie przedstawia żadnej praktycznie wartościowej koncepcji działania w zakresie przygotowania rolnictwa do wojny. Ja nie jestem specjalistą w dziedzinie rolniczej, więc nie mogę (a gdybym mógł, to w tych uwagach nie chciałbym) podejmować dyskusji co do szczegółów, bo tu różnice zdań mogą być i zawsze pozostaną. Ale chodzi mi o myśl przewodnią, o ideę kierowniczą dla polityki państwowej na odcinku rolniczym. Szanowni autorzy położyli cały nacisk na udowodnienie, że wielka własność rolna ma przewagę nad średnią i małą w swej przydatności dla gospodarki wojennej.

Ponieważ, jak powiedziałem, nie jestem specjalistą, to nie mam zamiaru podejmować dyskusji nad tem, która forma własności jest wogóle i w szczególe lepsza. Mógł bym wprawdzie przytoczyć takie argumenty, jak to, że kraje o największej wydajności rolnictwa są krajami o małej własności, lub to, że produkcja wielkich gospodarstw podczas wojny w Rosji spadła, a małych nawet wzrosła w pierwszych dwu latach. Ale nie o to chodzi. Wielka własność rolna ma w czasie wojny swoje plusy, chociaż ma i minusy. To samo własność mała i średnia. Autorzy omawianej książki mówili tylko o plusach wielkiej i minusach małej własności. Nie jest to obiektywne i wszechstronne przedstawienie sprawy, ale przyjmijmy także założenie, że przewaga plusów jest po stronie większej własności i zastanówmy się, co z tego praktycznie wynika.

Rozdrobnienie własności rolnej jest zawsze w stosunku wprost proporcjonalnym do gęstości zaludnienia i odwrotnie proporcjonalnym do stanu uprzemysłowienia. Dynamika procesu rozdrobnienia jest w takim samym stosunku do dynamiki przyrostu ludności i tempa uprzemysłowienia. Polska ma dość gęstą ludność, szybkie tempo wzrostu ludności i powolne tempo uprzemysłowienia. W konsekwencji następuje rozdrobnienie rolnictwa, jako proces żywiołowy. Można ten fakt różnie oceniać, można również różnie oceniać sposób, w jaki usiłuje kierować tym żywiołowym procesem aktualna polityka Rządu. Ale nie podobna samemu faktowi zaprzeczyć.

Już dziś wielka własność obejmuje ca. 20% gruntów uprawnych. Czyli, że gros produkcji rolnej, to produkcja drobnych gospodarstw i przewaga ta będzie dalej wzrastała, niezależnie od poglądów i gustów moich i szanownych autorów omawianej książki. *Konsekwencją tego stanu rzeczy jest to, że musimy konstruować koncepcję pogotowia rolniczego na wypadek wojny w oparciu o drobne rolnictwo — chociażby nawet organizacja tego pogotowia w oparciu o wielkie rolnictwo była łatwiejsza.*

Albo też należy wzorem sowieckim przystąpić do kolektywizacji. Tertium non datur. Bo przecież ustawowo zatrzymać procesu parcelacji, przy zachowywaniu zasady indywidualnego władania ziemią nie można.

Zgadzam się z autorami, że aprowidowanie armii w oparciu o wielką własność jest łatwiejszym zadaniem dla intendentury, ale realizowanie koncepcji pogotowia rolniczego w oparciu o wielką własność jest dla Państwa Polskiego jako całości, zadaniem nieporównanie trudniejszym ekonomicznie, socjalnie i politycznie, jeśli nie jest w ogóle absurdem.

Prawda, autorzy nigdzie takiego postulatu nie postawili, a ograniczyli się tylko do konstatacji wyższości gospodarki wielkorolnej nad małorolną podczas wojny. Odmawiam więc tej konstatacji wszelkiej wartości praktycznej. Dla tego właśnie nie uznaję za potrzebne dyskutować nad tem, czy jest ona tak bezspornie słuszną i powtarzam, że gros naszej produkcji, to produkcja drobnej własności, że proces rozdrabniania własności będzie szedł dalej, a zatem należy pracować nad konstruowaniem systemu pogotowia wojennego w oparciu o te fakty i nie uciekać od tego problemu tylko dla tego, że jest on trudniejszy *myślowo*. Podkreślam, że *myślowo*, bo innego praktycznego rozwiązania problemu w ogóle nie ma.

Dotychczas trzymałem się dziedziny rozważań ekonomicznych, ale nawiązując do wstępu zaznaczyć jeszcze muszę, że autorzy pominęli zagadnienia socjalne i psychiczne, jeśli chodzi o psychikę zbiorową. Otóż 70% ludności polskiej, to chłopi. Jakie były związki między kwestią agrarną, a zagadnieniem „być lub nie być" państwowości polskiej, wiemy z historii powstań 1794, 1831 i 1863 roku. Warto przy tem przypomnieć, że Naród Polski dwa razy zdobył się na wielki wysiłek wojenny; w epoce Księstwa Warszawskiego, kiedy Napoleon uwolnił od poddaństwa chłopów i w 1920 roku, kiedy sejm uchwalił reformę rolną. Czysty ekonomista może w swych rozważaniach o tych faktach zapominać, polityk gospodarczy — nie powinien, politykowi wojenno - gospodarczemu — nie wolno. Tem bardziej, że nasza doktryna wojenna przywiązuje ogromną wagę do stanu moralnego ludności podczas wojny, a wszelkie koncepcje wojenno - gospodarcze powinny być z tą doktryną w zgodzie.

Z. Szempliński.

POGLĄDY I CYFRY

Demokratyczny Lewiatan.

W „Depeszy" z dnia 5 kwietnia b.r. (w cztery dni po terminie prima-aprilisowym!) we wstępnym artykule można było wyczytać westchnienie zakreślone aż na szerokim tle perspektyw polityki zagranicznej, aby już, natychmiast, depeszą, przywrócić w Polsce demokrację parlamentarną i w ten sposób upodobnić się do demokracyj Zachodu, kontakt z któremi nakazuje właściwa polityka zagraniczna.

Nie wchodząc na tym miejscu zupełnie w ocenę słuszności samego hasła wysuniętego przez „Depeszę", ani tym bardziej w ocenę przytoczonych przez „Depeszę" racyj, musimy ze zdziwieniem odnieść się do tej niespodziewanej orientacji.

Bo przecież jeszcze tak niedawno (11 marca b. r.) starszy i dostojniejszy brat „Depeszy" — sam „Kurier Polski" pouczał nas w związku z wprowadzeniem swobodnego handlu złotem we Francji, jak następuje: „Wolny obrót złotem czy walutami zagranicznemi pozwala obywatelowi wyrażać swój stosunek do każdorazowego rządu. Gdy obywatel traci zaufanie do programu rządowego, gdy uważa, że ten program jest zły, nieodpowiedni, wtenczas wyzbywa się waluty własnej, kupuje złoto i chowa je bądź w domu bądź oddaje na przechowanie do zagranicznego banku. Gdy większość obywateli tak postępuje, reperkusje poważnej natury zagrażają z miejsca walucie i budżetowi kraju, a rząd zmuszony jest do ustąpienia. W ten sposób wolny obrót złotem i dewizami zastępuje do pewnego stopnia wybory parlamentarne i wyraża opinie społeczeństwa. Najbardziej ujemną stroną wprowadzenia ograniczeń dewizowych jest właśnie pozbawienie społeczeństwa faktycznego wpływu na rządy".

Swoiste pojęcia „obywatela", „większości obywateli", „społeczeństwa" i wreszcie odkrycie zastępczych „wyborów parlamentarnych" tak dalece odbiegają od ugruntowanego rozumienia tych pojęć przez demokrację parlamentarną, że poza szyderczym podobieństwem słownictwa trudno znaleźć bardziej groźne memento dla demokracji parlamentarnej, niż te niedalekie zresztą od prawdy wywody o zależności większości rządów od kapitału finansowego.

W kwietniu ub. r., t. j. w momencie wprowadzenia ograniczeń dewizowych w Polsce, „Lewiatan” nie odkrył jeszcze uroków demokracji parlamentarnej. Dlaczego więc teraz? Czyżby odpowiedź była zawarta w tym samym artykule „Kuriera Polskiego”? — „Kapitał pieniężny góruje nad kapitałem rzeczowym tem, iż można go w każdej chwili przenieść do innego kraju lub schować u siebie przed apetytem państwa. Fabryki zaś nietylko wywieźć zagranicę, ale nawet unieruchomić z dnia na dzień nie można”. — Kiedy więc tylko zaczęto z grzeszną ciekawością przyglądać się pracy fabryk od strony „tajemnicy” kosztów własnych, „Lewiatanowi” zakręciło się w głowie i wydało mu się, że taki zakręt milej przeżywać w „rozkręconym” parlamencie. I stąd hymn pochwalny na cześć demokracji parlamentarnej.

Ceny pszenicy i ceny żelaza.

Jeżeli dotarliśmy już przypadkiem do wspomnień, nie zaszkodzi nastawić je na daleki zasięg i przy pomocy danych statystycznych taki odtworzyć obraz:

Ceny pszenicy i żelaza we Francji: Średnie ceny za dziesięciolecia we frankach w latach 1821 — 1920 oraz za lata 1926 — 1930 i 1931 — 1932.

Lata	Cena za q pszenicy	Cena za q żelaza*)	Za q pszenicy można było nabyć żelaza:	Wskaźnik (1881—1890 = 100)
1821—1830	24,42	46,40	53 kg	29
1831—1840	25,24	38,14	66 „	37
1841—1850	26,13	31,73	82 „	46
1851—1860	29,88	29,73	101 „	56
1861—1870	28,96	20,70	140 „	78
1871—1880	30,60	19,05	161 „	89
1881—1890	**22,72**	**12,60**	**180 „**	**100**
1891—1900	18,62	13,15	142 „	79
1901—1910	18,98	12,70	149 „	83
1911—1920	56,58	45,25	125 „	69
1926—1930	153,20	97,40	157 „	87
1931—1932	82,50	88,00	93 „	52

Lata 1881 — 1890 wybraliśmy za podstawę wskaźnika z dwóch względów: raz, że jest to dziesięciolecie najniższej ceny żelaza w stosunku do pszenicy, powtóre dlatego, że do tego czasu żelazo szybko taniało w stosunku do pszenicy, a od następnego dziesięciolecia zaczęło niepokojąco i szybko drożeć. Źródłem pierwszego procesu był postęp techniczny zawsze i wszędzie powodujący zwieranie się cen rolnych i przemysłowych (oczywiście w warunkach wolnej konkurencji). Odmienna tendencja poczynająca się od dziesięciolecia 1891 — 1900 tłomaczy się tem, iż dziesięciolecie to ujrzało pierwszy kartel żelaza we Francji, ten kartel, o którego dziejach obecnie dość głośno w prasie francuskiej w związku z dziwnemi, powieścią kryminalną trącącemi, kolejami pierwszej książki ujawniającej również w pełni swoistą grę kartelu.

Dziesięciolecie 1881 — 1890 podkreśliliśmy w przytoczonej tabliczce. Jest to bowiem — jak wiadomo — dziesięciolecie pierwszego wielkiego (nie wyobrażano sobie podówczas większych) spadku cen rolnych, za którym podążył jednak z łatwością i z większym jeszcze rozpędem spadek cen żelaza.

Dla większości współczesnych możliwość obniżenia się cen przemysłowych i to w stosunku do zboża wydaje się poprostu cudem, tak bowiem mocno potrafiono otumanić i zmęczyć tę większość ciągle bijącymi na alarm dzwonami z powodu nierentowności wielkoprzemysłowych warsztatów pracy, nierentowności gruntującej się wprost monumentalnie na sztuce zestawiania bilansów. (Patrz przemówienie vice-premiera E. Kwiatkowskiego, wygłoszone w dniu 5 marca b. r. na plenum Senatu).

Niechże więc przytoczone przez nas proste liczby mają tę moc, że

„Pamięć (naówczas) jak lampa z kryształu,
Ubrana pendzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce —
Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy
Kraśne, acz nieco (!) przyćmione kobierce”.

Polski wskaźnik produkcji przemysłowej.

A teraz „z hymnu do prostej powieści”. Coraz mniej użytecznym staje się ogłaszany przez Instytut Koniunktur i Cen wskaźnik produkcji przemysłowej. Opiera się on bowiem jak wiadomo — w znacznym stopniu na liczbie przepracowanych robotniko-godzin, a tymczasem racjonalizacja wytwórczości — u nas zresztą przede wszystkim w zakresie wzmożonej pracy — poszła od roku 1928 milowymi krokami naprzód.

Nie wszędzie udało się co prawda osiągnąć aż 100% wzrostu wydajności. W górnictwie trzeba zadowolnić się tylko 50%. Rok 1928 daje przeciętnie 1267 kg wydobytego węgla na dniówkę ogółu robotników, odnośne dane na ostatnie miesiące wykazują średnio 1900 kg.

Brak nam danych co do wzrostu innych wydajności w Polsce. Ale natomiast przytoczyć możemy, że nawet w Anglii, gdzie należy naszym zdaniem spodziewać się znacznie mniejszego niż w Polsce napięcia racjonalizacji w ostatnich latach, wskaźnikowi produkcji przemysłowej równemu w ostatnim kwartale ub. roku 131 punktom odpowiada 111 punktów wskaźnika zatrudnienia. Rozpiętość wskaźników wynosi 18%.

Na tle tych rozważań wydaje się słusznym twierdzenie, że w Polsce w ostatnich miesiącach produkcja przemysłowa przynajmniej równa się produkcji z 1928 r., bowiem wskaźnik tej produkcji ustalił się powyżej 80 punktów. A stwierdzenie to ma dla nas wielkie znaczenie. Wynika z niego bowiem, że z „Mengenkoniunktur” nie jest u nas tak źle, jak chce się to nieraz przedstawiać, aby przywoływać głosem puszczyka „Preiskoniunktur“.

narrator.

*) Do roku 1834 „fer forgé“, od roku 1835 „fer laminé“. Różnica w cenie obu gatunków w 1835 r. ma się, jak 38 do 41,9. Od roku 1857 „fer en barres” — różnica w cenie dla roku 1857 obu gatunków ma się jak 31,2 do 31.

Źródło: Statistique générale de la France. Annuaire statistique, quarante quatrième volume 1928. Pages 103 — 109.

WITOLD PTASZYŃSKI

ANKIETY

Wobec postępującego zwiększania się zakresu funkcji poznawczo-technicznych aparatu administracyjnego publicznego i prywatnego — należy zwrócić uwagę na możliwości ich usprawnienia.

Kwestionariusz stał się w Polsce dla wielu obywateli symbolem biurokracji.

W tym uzasadnionym z punktu widzenia własnych interesów proteście, jaki zawiera powyższa symboliczna ocena kwestionariusza, zapomina się łatwo, że urzędnicy jednych urzędów padają ofiarą biurokratycznej inwencji innych. Częste są zwłaszcza narzekania placówek pracujących „w terenie" mówiąc stylem biurowym na przeciążenie pracami sprawozdawczemi w skutek żądań centrali.

Komisyjne badania ankietowe objęły jak dotąd tylko nieliczne stosunkowo jednostki zajmujące bardziej eksponowane pod względem urzędowym, gospodarczym lub ogólno społecznym stanowiska — i dlatego może niechęć do nich nie osiągnęła natężenia zbiorowej niechęci do kwestionariusza. Czyż zresztą — powtarzamy — tylko obywatele z tamtej — zewnętrznej strony okienka narzekają na kwestionariusze pytania, ankiety, wykazy itp.? Zdaje się, że równie wielką jest antypatia do tych dokumentów o b. różnorodnej wartości, także z tej — wewnętrznej — strony okienka biurowego. Czyż — dalej — tylko biurokracja państwowa uprawia politykę kwestionariuszów? Czy nie czynią tegoż — ku oburzeniu zainteresowanych — także wszelkie postaci samorządu, więcej — wszelkie postaci gospodarczych związków, stowarzyszeń dobrowolnych!

A jednak ani w Polsce, ani zagranicą mimo ogólnego potępienia powódź kwestionariuszów nie maleje bynajmniej! Wręcz przeciwnie — są wszystkie dane po temu, aby sądzić, że zakres zainteresowań biurokracji publicznej i prywatnej rośnie.

Musi istnieć pewien powód tej sprzeczności powszechnej woli z powszechną rzeczywistością. Orientacja pod tym względem pozwolić powinna na zaatakowanie zła w zarodku, lub w tych granicach w których zło nie okaże się koniecznością.

Jeśli nawet zaryzykowałby ktoś twierdzenie, że zakres zainteresowań jednostek sprawujących władzę państwową lub w ogóle sprawujących funkcję publiczne uległ nie zbyt wielkiemu rozszerzeniu w ciągu ostatnich kilku wieków, to jednak uznać musi, że odpowiedzialność i formalnie uznane kompetencje władzy publicznej osiągnęły granice nieznane w przeszłości. Powoływanie się na ewolucję w Rosji, Niemczech lub Stanach Zjednoczonych jest najzupełniej zbędne. Wystarczy przejrzeć kilka artykułów prasy angielskiej, aby urobić sobie przeświadczenie, że odpowiedzialność za bieg koniunktury gospodarczej w Anglii obciąża najwyraźniej i wyłącznie państwo. Wprawdzie rozważa się rolę i obowiązki wielkich instytucyj bankowych lub związków przemysłowych i pracowniczych, ale traktuje się je jako elementy społeczne w działalności państwa. Stosunek między nimi, a odpowiedzialnym za ich działanie państwem przybiera w umysłowości współczesnej postać postulatu rozdziału aktywności między czynniki, które ją wykonają ku największemu pożytkowi społeczeństwa. Stąd też, gdy tylko czynnik prywatny zmierza w sposób oczywisty w wykonywaniu swych funkcyj społecznych do naruszenia biegu koniunktury gospodarczej, bezzwłocznie odzywają się głosy o konieczności przeciwdziałania takim tendencjom poprzez odpowiednio dopasowaną politykę ekonomiczną państwa. Duża swoboda działania instytucyj prywatnych w Anglii jest tylko formą, analogiczną zresztą do działań aparatu zetatyzowanego — natomiast punkt ciężkości polega na odpowiedzialności państwa za osiągnięcie ogólnych korzystnych społecznie wyników niezależnie od form w jakich dokonywują się procesy gospodarcze. Zdaje się, że pod tym względem *nastawienie psychiczne ludności* nie wiele różni się w Moskwie i w Londynie, i zdaje się również, że — o ile idzie o sprawy gospodarcze — w okresie przed rewolucją francuską nastawienie podobne nie istniało ani w Moskwie, ani w Londynie.

Formalnie uznane kompetencje państwa rozszerzyły się w sposób bardziej różnorodny niż jego odpowiedzialność, a to w zależności od idei politycznych, ekonomicznych, socjalnych i kulturalnych, które stały się podstawą społeczną poszczególnych organizmów państwowych. Wszędzie jednak kompetencje formalne podążyły za wzrostem odpowiedzialności władzy za losy, a specjalnie za losy gospodarcze, grupy przezeń reprezentowanej.

Obok wzrostu odpowiedzialności i kompetencji władzy publicznej — życie gospodarcze w swym własnym zakresie doznało przeobrażeń bardzo daleko idących. Mówi się często, że uległo ono wielkiej komplikacji w miarę postępu techniki, choć aby ocenić trafność tego poglądu należałoby bliżej określić znaczenie procesu komplikacji. Z pewnością jednak można twierdzić, że społeczna spoistość i współzależność zjawisk na poszczególnych odcinkach życia gospodarczego ogromnie się wzmogła, a reakcja na zmiany wewnętrzne i zewnętrzne stała się wielokrotnie szybsza, niż w okresie poprzedzającym wielki kapitalizm.

W tych warunkach wzrost kompetencji władzy publicznej i zwłaszcza wzrost jej odpowiedzialności za kształtowanie się sytuacji gospodarczej oznaczał równocześnie, że jednostki sprawujące władzę powinny znacznie dokładniej znać przedmiot swej politycznej działalności, niż było to możliwe w okresie mniejszej zależności życia gospodarczego od państwa.

Konieczność znajomości każdorazowej sytuacji go-

spodarczej od strony strukturalnej i funkcjonalnej stała się przeto koniecznością nieuniknioną, tem bardziej nieuniknioną, że znajomość ta okazała się niejednokrotnie mimo czynionych wysiłków zupełnie niewystarczającą wobec zadań obciążających aparat państwowy. Zarzut papierowych zarządzeń i ignorancji stanu faktycznego obciążał coraz częściej urzędnika organów publicznych w miarę jak obywatel rozszerzał zakres odpowiedzialności społecznej władzy. Urzędnik, choćby nie należał do kategorii „wzorowej", jaką podobno stanowią urzędnicy instytucji prywatnych, starał się w miarę możliwości własnych i ogólnopaństwowych uzułpeniać swą znajomość faktycznego stanu życia gospodarczego. Tem tłumaczyć należy rozwój w ciągu XIX w. biur statystycznych, a w wieku XX biur badań ekonomicznych, oraz rozwój prasy gospodarczej. Zresztą już w XIX wieku w grę wchodziły nie tylko potrzeby instytucji państwowych, — także zainteresowane były lepszą znajomością faktów gospodarczych instytucje komunalne oraz prywatne, głównie finansowe. Wreszcie wojny, przybierając coraz bardziej charakter wystąpień całych społeczeństw narodowych, wymagały również dokładniejszej, niż pierwej, znajomości stanu zasobów i możliwości gospodarczych kraju.

Na tle tych potrzeb zakres faktów, których znajomość była konieczna w centrum dysponującym władzą, wzrósł do rozmiarów współczesnych, okazując się zresztą podobnie jak i dawniej, nie wystarczającym dla uniknięcia ze strony obywateli zarzutów nieznajomości rzeczy.

Nic nie zdaje się wskazywać, żeby dotychczasowa tendencja wzrostu kompetencji i zakresu odpowiedzialności społecznej państwa oraz współzależności zjawisk gospodarczych mogła ulec zmianie. A zatem grozi nam dalszy zalew kwestionariuszów, deklaracyj, druczków, ankiet itp. niechętnie widywanych papierów, za „pośrednictwem" których władze publiczne oraz związki i organizacje prywatne usiłują zapoznać się z rzeczywistością życia zbiorowego i podołać obowiązkom odpowiedzialności, jakimi są przez nas coraz wszechstronniej obarczane. Reasumując stwierdzamy, że konieczność znajomości faktów życia zbiorowego, a w szczególności interesującego nas na tym miejscu życia gospodarczego, stworzyła i nieustannie stwarza specyficzne funkcje techniczno - poznawcze aparatu administracyjnego publicznego i prywatnego a nawet staje się przedmiotem działalności obliczonej na zysk (prasa).

Technika zbierania wiadomości gospodarczych posługuje się jak przed wiekiem niezmienionymi prawie co do istoty metodami i instrumentami. Symboliczny kwestionariusz znany był dawniej podobnie jak dziś, tylko, że naogół stykał się z nim obywatel znacznie rzadziej, niż współcześnie. Komisje międzyministerialne lub analogiczne również wyjeżdżały w „teren" dla badania „rzeczywistej rzeczywistości". Różnica ze stanem dzisiejszym polega, jak nam się wydaje, na częstotliwości w jakiej występują w życiu społecznym funkcje technicznego zbierania wiadomości gospodarczych.

Nie sięgając w dalszą przyszłość, kiedy funkcje te zostaną udoskonalone w sposób wszechstronny, warto jednak zastanowić się nad ich praktycznym i dziś możliwym do zrealizowania usprawnieniem, zwłaszcza, skoro jak widzieliśmy punktem wyjścia omawianej tu sprawy są konieczności nieodwracalne życia zbiorowego. Ograniczymy nasze szczegółowe uwagi do jednej tylko metody, którą posługuje się technika zbierania wiadomości gospodarczych, jednakże — do metody o niezwykle szerokim zastosowaniu. Mamy na myśli wszelkiego rodzaju ankiety, czyli zbieranie u większej liczby osób lub instytucji, biur itp. informacji dotyczących określonego kompleksu zagadnień. Charakter zagadnień (oceny, stany faktyczne, przewidywania etc.), sposób zbierania (kwestionariusze, memoriały, ustne zeznania), postaci informacji (statystyczne, opisowe) — mogą być różnorodne, będąc w większości wypadków jednakowo dokuczliwymi dla udzielających odpowiedzi na ankiety. Z pojęcia ankiety wyłączyć jednak należy zbieranie informacji udzielanych periodycznie i systematycznie w normalnym biegu funkcjonowania niektórych instytucji, a więc np. zeznania podatkowe nie będą stanowiły ankiety w naszym rozumieniu. Natomiast byłoby np. ankietą zbieranie informacji o wykształceniu pracowników umysłowych, zatrudnionych na terenie danego województwa przez jedno z biur wojewódzkich Funduszu Pracy, gdyż zbieranie tych informacyj nie miałoby charakteru periodycznie i normalnie wykonywanej aktywności Funduszu Pracy. Za ankietę uważać także należy materiały gromadzone przez komisje powoływane na pewien okres czasu do zbadania określonego zagadnienia na podstawie informacji większej ilości osób — materiały takie np. zgromadziła przed półtora rokiem Komisja t. z. Martinowska. W ogóle, mówiąc o ankiecie, chcemy podkreślić, że jest to uzyskiwanie wiadomości normalnie niedostępnych, a które uzyskuje się dopiero drogą specjalnie zorganizowanej akcji w postaci ankiety.

Życie gospodarcze, zarówno jak aparat administracyjny uskarżają się na nadmiar wykazów, sprawozdań, kwestionariuszów itp., wśród których pewna ilość wiąże się z przeprowadzanemi ankietami. Bardziej przykry jest jednak zarzut „wtajemniczonych", którzy dowodzą, że zebrane materiały, czy to z odpowiedzi na kwestionariusze, czy z badań komisyjnych, bywają następnie starannie układane w szafach... na czem kończy się ich użyteczność publiczna. Zdaje się, że zarzut ten zawiera niemało prawdy. Wiadomo nam np. o dwu zbiorach ciekawych materiałów ankietowych, których zgromadzenie kosztowało zapewne około 10 tysięcy zł, a które niemal od dnia zakończenia „odnośnych" ankiet spoczywają w szafach „odnośnych" instytucji. A tymczasem znaczna większość urzędników administracji gospodarczej, publicznej i nawet prywatnej, twierdzi, że nie rozporządza dostatecznymi materiałami dla orientacji ekonomicznej w sprawach, które załatwia.

Zresztą w jaki sposób urzędnik określonego ministerstwa mógłby dowiedzieć się, że w ważnym dla niego zakresie zagadnień gospodarczych tożsamo ministerstwo wykonało przed paru laty za pośrednictwem jednak innego wydziału, niż ten w którym on pracuje — bardzo ciekawe badania ankietowe? Przypadkowo fakt ten może dojść do wiadomości

owego urzędnika, ale również przypadkowo może nie dojść i nawet spowodować w konsekwencji... przeprowadzenie nowej ankiety. A cóż zatem sądzić o możliwości wzajemnego wykorzystania przeprowadzonych badań ankietowych przez dwie zupełnie odrębne instytucje, zwłaszcza wówczas, gdy jedna ma siedzibę w stolicy, a druga na prowincji?! Zresztą łatwo przeoczyć wartościowe materiały ankietowe nie tylko wówczas gdy spoczywają one w szafach innych niż własne instytucji, ale nawet w wypadku opublikowania wyników drukiem. Tempo pracy nie pozwala przecież na wertowanie roczników czasopism, które w dodatku nie zawsze znajdują się „pod ręką" — opuszczenie zaś kilku wierszy stanowi wówczas o niewykorzystaniu nakładów kilkutysiącozłotowych. Znamy np. wypadek, gdy pewna instytucja badań ekonomicznych opublikowała opracowanie jednej ze swych ankiet nie w własnych wydawnictwach, a w czasopiśmie fachowym. Działo się to w roku 1931. Dziś pracownicy innej instytucji badań ekonomicznych nie orientują się, że zagadnienie, które objęli swą ankietą w r. 1935 było już szczegółowo badane w r. 1931, a wyniki jego mogłyby być wykorzystane dla umiejętnego przeprowadzenia ich nowej ankiety. Wina nie leży po stronie pracowników, lecz przede wszystkim po stronie organizacji zbierania i gromadzenia materiałów ankietowych o doniosłości publicznej.

Wydaje się, że wprowadzenie obowiązku zgłaszania Głównemu Urzędowi Statystycznemu — bo byłaby to zapewne najbardziej właściwa instytucja — wszelkich ankiet przeprowadzanych przez państwo, samorządy i osoby prawa prywatnego — stanowiłoby krok naprzód w dziedzinie wykorzystywania ankiet. Materiały ankietowe pozostawałyby oczywiście u przeprowadzających ankietę, G. U. S. byłby zaś tylko zawiadamiany o jej treści i zakresie, nie mając zresztą żadnych uprawnień do wyrażania zgody lub sprzeciwu w stosunku do projektowanych badań. Prowadzona przez G. U. S. kartoteka ankiet powinnaby być publiczna, a w każdym razie dostępna dla wszystkich urzędów i instytucji prawa publicznego oraz dla określonych innych instytucji i związków prywatnych. Zgłaszanie ankiety należałoby uznać za obowiązkowe, także w wypadku zamierzanej publikacji zebranych materiałów. Wreszcie urzędy i instytucje mające prawo wglądu do kartoteki lub określone inaczej, byłyby upoważnione do korzystania z źródłowych materiałów ankietowych pozostających w posiadaniu urzędów i instytucji, które ankietę przeprowadzały.

W chwili obecnej istnieją już pewne postanowienia w ustawie o organizacji G. U. S. oraz w jego statucie, które mogłyby być rozszerzone w kierunku wyżej naszkicowanym. Sądzimy, że byłby to dość prosty i niekosztowny sposób, aby osiągnąć cztery cele, które dzisiejszy stan faktyczny sprawy wysuwa jako najpilniejsze:

1. Zmniejszyć ilość ankiet lub przynajmniej pogłębić ich wartość bez zwiększania kłopotów obywateli.

2. Zaoszczędzić wydatków, pochodzących prawie wyłącznie z funduszów publicznych, i wykorzystać w pełni wydatki już poczynione.

3. Podnieść stopień wszechstronności i dokładności w zaznajamianiu się administracji publicznej ze stanem życia gospodarczego w kraju i

4. — summa summarum — przeprowadzić na skromnym odcinku i w niewielkim zakresie *rzeczywiste usprawnienie administracji gospodarczej.*

NOTATKI

W SPRAWIE P. LUDWIKA LANDAUA

Atak na p. Ludwika Landaua zamieszczony w Gońcu Warszawskim z dn. 8 b. m. powołuje się na niedawne zwolnienie p. Landaua z Instytutu Koniunktur i wiąże sprawę tego sumiennego i zasłużonego ekonomisty ze sprawą o tak dużym i ogólnym znaczeniu, jak kwestia żydowska. Te dwa momenty nie tylko nie pozwalają pominąć tego ataku milczeniem, lecz nawet zmuszają do potraktowania go z powagą, na jaką zwykłe ataki prasowe nie zasługują, nawet jeśli są krzywdzące i nieuzasadnione.

Notatka zamieszczona w Gońcu dla zdyskwalifikowania osoby p. Landaua powołuje się na fakt zwolnienia go wraz z p. Breitem ze służby państwowej w związku z ocenami, zamieszczonemi w jednej z publikacyj Instytutu Koniunktur. Nie jesteśmy powołani do rozstrzygania czy oceny tej ostatniej sprawy. Więcej nawet, z szeregu względów nie uważalibyśmy za stosowne wypowiadać naszego subiektywnego sądu o niej. Jednego natomiast jesteśmy pewni. W niczyich oczach i w niczyich intencjach zwolnienie panów Landaua i Breita ze służby państwowej, związane z pewnym konkretnym wypadkiem, nie miało i nie mogło być dyskwalifikacją ich osób i całej ich działalności. W szczególności jeśli chodzi o p. Ludwika Landaua to niespornym pozostaje fakt, że właśnie całokształt pracy p. Landaua w Instytucie Koniunktur, którego filarem był p. Landau przez szereg lat, stanowi obok innych tytułów nie mały tytuł do uznania jego zasług w dziedzinie badań gospodarczych Polski.

W tym świetle staje się jasne, że wspomniane wyżej okoliczności stanowią tylko pretekst, demagogiczny chwyt autora notatki w Gońcu Warszawskim, zaś istotnym źródłem ataku na p. Landaua jest tani i brutalny antysemityzm (jeśli poza nim nie ukrywają się jakieś zakulisowe sprężyny). I tu właśnie leży sedno sprawy z szerszego punktu widzenia. Jest to pierwszy wypadek osobistej napaści na tym tle w naszym szczupłym światku ekonomistów polskich. W dzisiejszej atmosferze i przy istniejących dziś tendencjach i prądach politycznych należało się liczyć z tem, że prędzej czy później wypadek taki nastąpi. Z wagi, jaką społeczeństwo polskie przywiązuje dziś do kwestii żydowskiej zdajemy sobie tem dokładniej sprawę, że przecież i na naszych łamach ukazywały się ujęcia sprawy żydowskiej ze stanowiska ściśle nacjonalistycznego — ujęcia, dążące do wykazania odrębności, czy nawet obcości żydów w stosunku do Narodu Polskiego. Wspominamy o tem, chcąc uchylić ewentualny niesumienny, demagogiczny zarzut obrony żyda przez rzekomo filosemickie pismo. Nie określając tu rzecz prosta naszego stanowiska zasadniczego w odniesieniu do sprawy żydowskiej, stwierdzamy, że poprostu chcemy być pismem uczciwym, że krzywdę jednostki uważamy za sprawę publiczną zawsze, a zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o jednostki, poświęcające swe życie dla interesu publicznego. Że wreszcie nie sądzimy, by z jakiegokolwiek poważnego ujęcia sprawy żydowskiej, przy najbardziej nawet krańcowym stanowisku wynikać miały konsekwencje o typie „zoologicznego" antysemityzmu, by miało wynikać wyszukiwanie i tępienie jednostek pochodzenia żydowskiego z tej racji, że wybijają się ponad przeciętność.

Rozdawnictwo pochwał, wypisywanie laurek, nie leży w naszym zwyczaju. Dlatego mimo szacunku, jaki powszechnie wzbudza osoba p. Landaua i jego praca, z pewnością gdyby nie został on zaatakowany, nie przypominalibyśmy jego zasług. W tych okolicznościach jednak uważamy za konieczne podkreślić, że po za gruntowną wiedzą, sumiennością i wnikliwością prace p. Ludwika Landaua cechuje pewna jeszcze właściwość. P. Landau w ciągu szeregu lat ostatnich podejmuje kolejno badania nad szeregiem zagadnień z zakresu struktury gospodarstwa społecznego polskiego, publikując dociekania nad strukturą zawodową Polski, dochodem społecznym, jego zmianami w okresie kryzysu, itp., itp. Wszystkie prace p. Landaua wolne są od najbardziej nawet dopuszczalnej ambicji autorskiej, natomiast z reguły stają się wydawnictwami źródłowymi, bez których potem nie można się obejść. Wartość jego prac leży nie tylko w nich samych, lecz i w umożliwieniu innym badaczom prowadzenia dalszych dochodzeń w oparciu się o jego trud i wysiłek. Twórczość naukowa p. Landaua wskutek tego właśnie w wyjątkowo wysokim stopniu nosi charakter służby publicznej, pełnionej z całym oddaniem, z całym obiektywizmem, z całą sumiennością dobrego uczonego i szlachetnego człowieka.

Redakcja.

MIKRO I MAKRO-EKONOMIA

Fizyka współczesna rozróżnia zjawiska mikro i makro fizyczne. Najcharakterystyczniejszą różnicą pomiędzy tymi dwoma światami zjawisk, różnicą zasługującą naprawdę na nazwę rewelacyjnej, jest twierdzenie, że prawa obowiązujące w świecie makro-fizycznym nie są przestrzegane w świecie mikro-fizycznym. Prawa fizyczne są tylko statystycznemi regułami, sprawdzającemi się w wielkich zbiorowiskach, nie sprawdzającemi się nieraz w odniesieniu do cząsteczek.

Ekonomia polityczna już dawno rozbiła swój przedmiot badania — gospodarstwo społeczne — na atomy. W myśl klasycznej koncepcji atomem tym jest homo oeconomicus, działający według pewnych określonych reguł, — gospodarstwo społeczne przebywa procesy gospodarcze po linii wypadkowej z działań poszczególnych atomów. Wiele czasu i papieru poświęcono, koniec końców skutecznie, na uprzytomnienie, że homo oeconomicus jest schematem umownym, że to, co mówimy o jego zachowaniu jest podobnie jak w fizyce tylko regułą statystyczną, zmieniającą się ponadto w zależności od pewnych warunków. Nie na tem jednak koniec. Potoczne pojmowanie zjawisk gospodarczych grzeszy jeszcze czemś innym. Zapomina się mianowicie o tem, że gospodarstwo społeczne jest sumą jednostek gospodarujących, nie zaś jednostką gospodarującą w zwiększonym formacie. Wskutek tego błędu usiłuje się mechanicznie przetransponowywać na *całość* gospodarstwa rozumowania odnoszące się do *pojedyńczego warsztatu*, za-

pominając o tej podstawowej prawdzie, że to co jest korzystne dla *pojedyńczego przedsiębiorcy*, może nie być korzystne dla *ogółu przedsiębiorców*. Ugrupowania, zażywające z racji ich stanu posiadania materialnego opinii znawców spraw gospodarczych, stale podtrzymują owo błędne mniemanie zarówno dlatego, że same dość często tak rozumują, jak i dlatego, że w interesie ich jako grupy społecznej leży podtrzymywanie tego błędu.

Niewątpliwie jest cały szereg wypadków, kiedy obserwacje czy konstatacje, odnoszące się do gospodarki indywidualnej, dają się niemal bez zmian stosować do gospodarki zbiorowej. I tak np. wymiana między jednostkami z jednej, a wymiana międzynarodowa z drugiej strony, wykazują poważną analogię. Częściej znacznie jednak występują jaskrawe i wyraźne różnice. Weźmy kilka przykładów. Jeśli jednostka konsumuje więcej, to oszczędza mniej. Jeśli więcej oszczędza, to mniej konsumuje, obniża swoją stopę życiową. Wzrost konsumcji w całym gospodarstwie społecznym powodując rozwój produkcji może bardzo łatwo prowadzić do zwiększenia kwoty akumulowanego kapitału. Wzrost oszczędności, stwarzając możliwość uruchomienia nowych warsztatów produkcyjnych, może dać w konsekwencji wzrost konsumcji. Ten prosty podział, ta prosta zależność, jaką obserwujemy w gospodarce indywidualnej pomiędzy rozmiarami dochodu konsumowanego i oszczędzonego, w koniunkturalnej gospodarce społecznej przedstawia się w sposób niepomiernie więcej skomplikowany. Inny przykład — z zakresu tak popularnego dziś zagadnienia cen. Bez wątpienia dla pojedyńczego przedsiębiorstwa podwyżka ceny oznacza zwiększenie jego rentowności, umożliwia dokonanie inwestycyj i zwiększenie wytwórczości. W odniesieniu do zbiorowości przedsiębiorstw jednoczesna podwyżka wszystkich cen w tym samym stopniu nie dałaby żadnych zmian poza zmniejszeniem cyfry zobowiązań. (W założeniu, że płace jako cenę pracy traktujemy tu na równi z innemi cenami). Natomiast ta zwyżka cen musiałaby zmniejszyć konkurencyjność danego kraju na rynkach międzynarodowych. Efekt końcowy jest niewątpliwie zależny od tego, co okazałoby się silniejsze — wpływ oddłużenia, czy też wpływ pomniejszenia konkurencyjności. Niezmiernie często usiłuje się do publicznej gospodarki budżetowej stosować te same kryteria, jakie stosuje się do bilansów przedsiębiorstw. Jest to znowu przykład nieuwzględnienia różnicy pomiędzy gospodarstwem społecznym a indywidualnym. Różnica ta najjaskrawiej występuje w zagadnieniu równowagi wzgl. deficytu budżetowego. Jeden z najlepszych znawców polskiego życia gospodarczego użył kiedyś następującego określenia: „Budżet jest to ta część gospodarki skarbowej, która jest zrównoważona". Powodzenie to jest nietylko dowcipne, ale ponadto trafne. W pewnych okresach czasu deficyt budżetowy (jawny albo co lepsze ukryty) jest niezbędną dźwignią gospodarstwa społecznego, w innych okresach zadaniem państwa staje się „nieproduktywne" gromadzenie rezerw, hamowanie boomu. Rzecz prosta nie sposób podobnie oceniać zaciągania kredytów, nie mających pokrycia albo gromadzenia pieniędzy w sienniku przez gospodarstwa indywidualne. *c. k.*

PRZYPOMNIENIE

Staraniom Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji „przypisać należy ostateczne ugruntowanie w kraju biurokracji nowoczesnej, tak niepopularnej na ogół i w tych czasach, zwalczanej w sejmie... Biurokracja ta, złożona w części z dawnych prefektów i podprefektów, częściowo z byłych oficerów, nie krępowała się zbytnio — inicjatywa w tej mierze szła zresztą z centrali — przepisami konstytucji i nie zamierzała odwoływać się do żadnych samorządów. Była przeniknięta duchem opiekuńczym, miała trochę ludzi z pewnym polotem i wzięła się energicznie przede wszystkim do podniesienia gospodarczego kraju..."

„Nie udało się jej to w najważniejszej dziedzinie produkcji krajowej, rolnictwie". Zamierzano przeprowadzić reformę rolną, do której zmuszał katastrofalny spadek cen ziemiopłodów, wymagający „interwencji i pomocy rządu" tak dla szlachty, jak i wobec włościaństwa. Rząd rozpisał więc „ankietę do Rad Departamentowych, władz administracyjnych i sądowych, wybitniejszych ziemian, przesądzającą już plan reformy w kierunku unormowania obszaru gospodarstw włościańskich, zapewnienia własności budynków i załóg i zawarcia pod opieką rządu kontraktów czynszowych; dalszym etapem miało być uwłaszczenie całkowite. Odpowiedzi na ankietę nie dały większości przychylnej zamierzonej reformie; nie powinny były jednak zniechęcić rządu. Stało się inaczej; rząd cofnął się..." „Administracja dopomagała wtedy włościanom przy pomocy rzeczy drobnych: rozsyłała popularne wydawnictwa rolnicze, wskazówki budowania domków, rozdawała nagrody lepszym gospodarzom... Większej własności ułatwiała hodowlę;... podnosiła i ostatecznie urządziła dobrze leśnictwo rządowe"...

„Nie mogąc przyjść z wydatniejszą pomocą wsi, administracja skierowała swój wysiłek na miasta, aby rozszerzyć wewnętrzny rynek zbytu i znaleźć nowe źródło dochodów dla państwa. Jej działalność w tej dziedzinie, często niekonstytucyjna, nieraz mocno dokuczliwa dla jednostek, nazbyt pośpieszna — wydała jednak rezultaty bardzo doniosłe". Biurokracja uporządkowała budżety miast, przekazała tym ostatnim część dochodów skarbowych, „szereg miast uzyskał pożyczki budowlane ze skarbu, innym pozwalano zaciągać je z remanentów miejskich, z funduszu kaucyjnego urzędników..., domagając się jednak tego, aby stawiano domy murowane, nie drewniane... W miastach większych... dążono energicznie do ich upiększenia, przeprowadzając te roboty na gwałt, bez względu na koszty... Dbano o higienę i porządek, stawiano rzeźnie miejskie, jatki, forsowano zabrukowanie miast, należyte zaopatrzenie ich w wodę, nowożytne oświetlenie..."

„Dziedziną, w której administracja wydała rezultaty największe, była sprawa stworzenia przemysłu krajowego". Pomimo szczupłości wewnętrznego rynku zbytu rząd poszedł na szeroką politykę inwestycyjną. Pomoc dla przemysłu polegała na ulgach podatkowych, zapomogach, kupnie maszyn i t.p., tak, że w końcu rząd stawał się „więcej prawie niżeli wspólnikiem" (słowa współczesnych). „Prowadziło to z ko-

lej do konieczności nabywania fabryk w razie cięższego ich kryzysu i administrowania niemi, do ponoszenia wszystkich następstw, zdarzających się od czasu do czasu bankructw"...

— Jeżeli czytelnik przypuszczał, że cytujemy fakty z ostatnich lat osiemnastu, to się omylił. Nasze obfite cytaty odnoszą się do historii Królestwa Kongresowego w okresie 1816 — 1820, który prof. W. Tokarz [1]) nazwał okresem „próby i nadziei". Że jednak analogie pomiędzy temi dwiema tak — zdawało by się — odległemi epokami narzucają się same przez się, że sprawdził się jeszcze raz komunał Ben Akiby — to już ani wina ubiegłego, ani zasługa obecnego stulecia. Widocznie w głębi ducha narodu tkwią stale te same pierwiastki, skoro reakcja na podobne czy identyczne zjawiska i warunki zewnętrzne układa się w formy bliźniacze. Dobrze jest o tem pamiętać, kiedy taki czy inny kierunek polityki gospodarczej uzyskuje — jako piętno lub, odwrotnie, jako stempel wyższości — nazwę, zaczerpniętą od wschodnich lub zachodnich sąsiadów, jak gdyby nie istniały nasze własne, rodzime, z tym samym podglebiem związane zasady i rozwiązania. *k. b.*

NIE TRZEBA NAMAWIAĆ

Ludzie, którzy przeciwstawiają się hasłu: „chłop ma prawo do straganu", wykazują dziecinny opór i kompletną nieznajomość rzeczy.

Można kwestionować stragan jako taki, tem więcej, że nie jest to w żadnym razie najzdrowsza i najbardziej pożądana forma handlu. Jeżeli jednak przez słowo: stragan rozumieć będziemy sklep (mały czy duży), to wówczas stosunek do „komercjalizacji" ludności wiejskiej musi ulec zmianie.

Bo zmieniło się samo życie. Z obliczeń biura statystyczno - ekonomicznego przy żydowskim towarzystwie „Cekabe" wynika, że w porównaniu z ostatnimi latami przedwojennymi odsetek wiejskich sklepów chrześcijańskich, których właścicielami są przeważnie chłopi, wzrósł bardzo silnie.

Potwierdza te dane Instytut Gospodarstwa Społecznego w swej ostatniej publikacji p. t. „Struktura społeczna wsi polskiej". Czytamy tam, że mniej więcej jedna czwarta ludności *bezrolnej* — to handlujący i rzemieślnicy. Stanowią oni około 4% ogółu ludności wiejskiej. Drugie tyle wynoszą *małorolni*, trudniący się handlem i rzemiosłem.

Ankieta, którą przeprowadził Instytut, objęła 460 rodzin we wszystkich dzielnicach kraju. I okazało się, że z zawodów, które są głównym źródłem utrzymania rodzin małorolnych, a zwłaszcza bezrolnych, na plan pierwszy wysunął się handel towarowy, ściślej biorąc — sklepiki. Dopiero na drugim miejscu idzie szewstwo, na trzecim kowalstwo, na czwartym handel nabiałem, na piątym zarobkowanie koniem (furmaństwo) i t. d.

Chłopa nie ma co namawiać, żeby się wziął do handlu. Chłop już oddawna handluje, bo go do tego zmusiła struktura rolna. Można było o tem nie wiedzieć, ale skoro się już wie — trudno zaprzeczyć faktom.

br.

[1]) „Polska. Jej dzieje i kultura", tom trzeci, księga V (str. 102 — 103).

RÉALITÉ DES CHOSES

Od jakiegoś czasu polska prasa — codzienna i periodyczna — przestała pisać o Rosji Sowieckiej. Trudno się w tem dopatrzeć jakiegoś „Wink von oben", albo strachu przed „Ilustrowanym Kurierem Codziennym" (vide, sprawa nieszczęsnego „Płomyka"). Raczej kładźmy to na karb niedbalstwa, lenistwa i nieuwagi, a czasem — kto wie i tendencyjności. Bo wiadomości dzienników, odnoszące się do Rosji Sowieckiej, są z reguły — ujemne. Że produkcja przemysłowa ilościowo i jakościowo zawodzi, że się plony źle zapowiadają, że katastrofy na kolejach, że biurokracja i t. d.

Metoda przemilczania lub wybierania faktów ujemnych (i to najczęściej drugorzędnego znaczenia) jest równie fałszywa, jak metoda dytyrambów, cielęcego zachwytu lub — dla odmiany — straszenia własnych obywateli potęgą niemiłego sąsiada. Taktyka, zajęta przez prasę polską bez względu na jej odcienie polityczne, może się okazać w skutkach niebezpieczną: zdziwienie łacno może przerodzić się w szok i — defetyzm.

Obsługa prasowa w dziedzinie informowania o tem, jak za granicą pracują i do czego i z jakimi wynikami dochodzą, w Polsce niewątpliwie szwankuje. Jeszcze stosunkowo nieźle postępuje ta prasa z Rzeszą Niemiecką, jako tako z Francją, Anglią i Włochami, ale już nie daj Boże z Czechosłowacją, państwami bałkańskimi lub wspomnianą Rosją Sowiecką.

Czytelnikowi polskiemu należy się coś więcej, niż anegdotki o Stalinie lub zachwyty nad sowieckimi spadochroniarzami. Potrzebna jest „réalite des choses" u nas i za granicą. *z. i.*

PIONIERZY

Siłę Wielkiej Brytanii i innych mocarstw kolonialnych stanowiły nie tylko armaty krążowników i karabiny piechoty morskiej. Wpierw, zanim pojawiało się wojsko, szedł zdobywać obce tereny człowiek samotny lub grupa ludzi, ryzykujących sobą dla otrzymania — *wszystkiego.*

Bez pionierów, ich inicjatywy, przedsiębiorczości, ryzyka i odwagi nie było by dzisiaj państw kolonialnych. Prawda ta wydaje się bezsporną również i w odniesieniu do kolonizacji typu wewnętrznego. Co więcej — bez pionierów i bez ducha pionierskiego nie może prawidłowo rozwijać się żaden naród, żadne państwo.

Dwa są aspekty tego ducha, jeżeli chodzi o Polskę. Jeden — o którym teraz mówić nie pragniemy — dotyczył by naszej ekspansji poza granice kraju (kolonizacja zamorska czy europejska), drugi natomiast dotyczy kolonizacji, zwanej wewnętrzną, przy czem i tu odróżniamy dwa różne problemy. Pierwszym problemem jest *postawa* elementu polskiego na terenach Rzeczypospolitej, mieszanych pod względem narodowościowym i językowym, drugim zaś — *ekspansja* z miast na wieś.

Sytuacja polskości w województwach południowo-wschodnich (o Ziemiach Wschodnich możemy chwilowo nie wspominać) przedstawia się z każdym rokiem coraz gorzej. Nie owijając prawdy w bawełnę, trzeba przyznać, iż polskość (w narodowościowym sensie tego wyrazu) jest tam w odwrocie, a opuszczone placówki stopniowo obejmują Ukraińcy. Ich

energia, przedsiębiorczość, upór, wytrwałość, metodyczność, planowość działania etc. nabierają — w zestawieniu z polską biernością, rezygnacją, gnuśnością i t.d. — barw szczególnie jaskrawych.

Pragniemy w tym miejscu, dla uniknięcia nieporozumień, wyjaśnić od razu, że punkt ciężkości zagadnienia leży w utracie przez Polaków ducha pionierskiego, a nie w przepojeniu się Ukraińców tym duchem. Każdy przejaw tego ducha skłonni jesteśmy uważać za fakt bezsprzecznie dodatni. Tem więcej odczuwamy naszą, Polaków, nieobecność w procesie duchowym, którego znaczenie doceniamy w całej rozciągłości. Jeżeli reakcją naszą na żywotność Ukraińców ma być... ucieczka pod skrzydła Państwa i jego instytucyj, odwoływanie się do zakazu, jako do „ultima ratio", i głoszenie haseł obrony... powolności żółwia przed pośpiechem zająca — to polskiemu duchowi pionierskiemu grozi bezpowrotna zatrata.

Zanik ducha pionierskiego czerpie swe soki z niewłaściwej postawy *psychicznej*. W postawie tej przebija ni to zmęczenie po odzyskaniu niepodległości, ni to wygodny wypoczynek „na laurach", ni to opaczne zrozumienie własnej państwowości, nito — wreszcie — psychoza *funkcjonaryzacji*. Ta ostatnia posiada szczególnie silną wymowę: ona właśnie sprawia, że społeczeństwo polskie, chroniąc się za parawan urzędów, policji, zakazów i nakazów, ustępuje Ukraińcom, którzy z konieczności stosują system pracy społecznej, dobrowolnej, *ochotniczej*. Jej również zawdzięczamy, że prowincja polska jest przez inteligencję polską traktowana po macoszemu.

Ekspansja z miast do wsi — ów drugi aspekt poruszanego tutaj zagadnienia — napotyka na przeszkody nie tylko natury materialnej. Można zrozumieć, że wieś polska i miasteczka polskiej „głuchej" prowincji nie dają tego minimum wygód, jakie przypadają w udziale mieszkańcom miast z ludnością powyżej stu tysięcy; można zrozumieć, że poziom kulturalny i cywilizacyjny otoczenia, jego ubóstwo materialne i szczupłość odczuwanych przez nie potrzeb zdolne są działać jak zimny prysznic na głowę. Ale: zrozumieć to jeszcze nie: przebaczyć.

Sybarytyzm, płytkie zadowolenie z posiadania okruchów kultury i cywilizacji (kino przede wszystkim), posadomania i t.p. — wszystko to hamuje ekspansję młodego, w niepodległej Polsce wychowanego, elementu, ekspansję na wieś i do miasteczek. Prowincja polska nie może doprosić się adwokatów, doktorów, pedagogów, kupców, rzemieślników: wolą przymierać głodem w stolicy, ocierając się o jej blaski, niż żyć poza nią i przebijać się zwycięsko przez gęstwinę zaniedbań, zacofania, prymitywu, ciemnoty i biedy. Z przymusu idą na prowincję ci, którzy są od kogoś czy od czegoś uzależnieni, ale dobrowolnych ochotników — pionierów z Bożej łaski — można by szukać ze świecą.

Problem, który poruszamy, nie jest problemem gospodarczym, jednak powoduje konsekwencje gospodarcze. Tkwi on korzeniami w *mentalności* społeczeństwa i w systemie *wychowawczym*, reprezentowanym tak przez szkołę, jak i przez rodzinę. Jeżeli zaś nie uda się go rozwiązać w sposób, utrwalony na Zachodzie, kto wie, czy nie zajdzie potrzeba sięgnięcia do metod, które z pewnym powodzeniem zastosowała socjalistyczna Rosja i faszystowskie Włochy.

br.

KONCESJA.

Od koncesji do kapitulacji tylko krok jeden. Pan „br." wzywa do udzielania kapitałowi obcemu „koncesji". Czy p. „br." zna historię długu otomańskiego? i czy p. „br." wie, że bez formalnych koncesji w końcu XVIII wieku szereg państw niepodległych dostał się pod gospodarcze dyktando. W. Brytanii? Koncesje nie są żadną obroną niepodległości gospodarczej. Są wstępem do kapitulacji.

Jedną koncesję możnaby zrobić. I to nie na rzecz kapitału, a na rzecz kapitalisty; i to nie obcego, ale rodzimego; i to nie wielkiego, ale średniego i małego. Ale ta koncesja narusza „piękną koncepcję" podatkową współczesnego systemu podatkowego w Polsce. Koncesją tą byłaby przebudowa podatku dochodowego taka, aby nie łowić ryb przed niewodem: zbierać podatek nie z zysków, lecz z zysków wydzielanych. Wtedy zarobki kapitalizowane w przedsiębiorstwach mogłyby dojrzeć do odrzucania płynnych zysków szybciej, aniżeli to się dzieje obecnie.

Ale taka koncesja byłaby kapitulacją z miłości własnej i z kwietyzmu tych sfer, których obowiązkiem jest myśleć o przyszłości podatkowej Polski, nie tylko o wpływach bieżących. A kapitulacja z kwietyzmu jest nie do przeprowadzenie tam, gdzie rozbrzmiewa hasło:

Niech na całym świecie wojna,
byle polska wieś wesoła,
byle polska wieś spokojna. —

k. o.

PO KRZYKU

Przed kilku miesiącami dużo szumu w prasie narobiła wiadomość, że „Wspólnota Interesów" zabłądziła z węglem pod strzechy. Tytułem próby wielkie przedsiębiorstwo zorganizowało w 4 punktach kraju sprzedaż węgla chłopom, przy czem w jednym wypadku sprzedaż powierzono urzędnikom „Wspólnoty", w pozostałych zaś — spółdzielni i kupcom prywatnym. Ceny, rzecz prosta, były nieco niższe od cen miejskich (nie mniej jeszcze rentowne), a dolną granicę tych pierwszych stanowiły lokalne ceny drzewa opałowego.

Jednym z punktów propagandowej sprzedaży węgla dla wsi był Gąsocin na linii Warszawa - Mława. Sprawozdania „Wspólnoty" wykazywały, że miejscowa spółdzielnia nie mogła nastarczyć zamówieniom, a sznury chłopskich furmanek, ładujących węgiel, były najlepszym świadectwem atrakcyjności ceny.

Cóż się jednak okazało? Oto po pewnym czasie w sąsiednim Pułtusku cena węgla spadła o 10%. Kupcy pułtuscy zawrzeli oburzeniem. Jęknęła ze zgrozy Polska Konwersja Węglowa, która i tak kosym okiem patrzyła na eksperyment „Wspólnoty". Bo jakże to: sprzedawać w kraju węgiel taniej, kiedy można drożej? Zwiększać zbyt, kiedy Konwencji wcale na tem nie zależy?..

Nie żartujemy. Konwencja, której rząd powierzył zadanie obniżenia ceny węgla dla wsi, zyskała dzięki Gąsocinowi doskonały argument przeciwko obniżce. Przecież na przykładzie Gąsocina można dowodzić, że chłop węgla nie potrzebuje, skoro chętnie się go pozbywa lub kupuje w charakterze furmana na zlecenie miasteczkowego kupca. Ale o jednym się

zapomina: zniżona cena węgla tak czy inaczej wzmogła jego sprzedaż. Część węgla „wiejskiego” zastąpiła węgiel „miejski”, reszta jednak stanowi czysty przyrost spożycia. Jeżeli zaś istnieje obawa o „dumping” ze strony węgla, przeznaczonego dla wsi, to nic prostszego, jak zniżyć ceny zbyt drogiego węgla, nabywanego w mieście. Wydaje się atoli, że Konwencja pójdzie drogą odwrotną: utrzymując ceny w mieście (o ile ich wogóle nie podwyższy), skasuje po prostu tani węgiel „chłopski”. I będzie po krzyku.

A interesujące obliczenia „Wspólnoty”, ilu to można zatrudnić górników, gdyby tak 300.000 t. rocznie dostarczyć chłopom, uznane zostaną za bzdurę niepoczytalnych etatystów i innych sufraganów.

z. i.

RYŻ I PAPIER

Ponieważ kartele są niepopularne, więc postanowiły się rozwiązać.

Twierdzenia tego nie należy brać zbyt dosłownie, bo nie zanosi się (niestety!) ani na likwidację płaczliwej Konwencji Węglowej, ani na odejście napół upaństwowionego Syndykatu Hut Żelaznych. Opinii publicznej przestały się narażać tylko dwa mniejsze kartele: ryżowy i papierniczy.

Z ryżem sytuacja jest o tyle osobliwa, że i tak dyktatorem rynku będzie łuszczarnia gdyńska, dysponująca 85% produkcji. Zmienią się formalne zasady zaopatrywania hurtu, zniknie firma „Elma”, posiadająca monopol na sprzedaż kartelowego ryżu, ale wszystko inne pozostanie po staremu. Kontrola rządowa również.

Inaczej rzecz się ma z papierem. Nie pod naciskiem opinii publicznej, ale pod wpływem zwyżki cen papiernie uznały kartel za niewygodny. Zgody rządu na podwyższenie cen papieru nie uzyskał, na kontrolę rządową naraża si bie i skartelizowane fabryki, kosztuje dużo... A propos kosztów: „Codzienna Gazeta Handlowa” (Nr. 66) podała do wiadomości, że likwidacja „Centropapieru” „nie odbije się odrazu zwyżką cen papieru, skoro odpada dla fabryk ponoszenie opłat na rzecz wspólnego syndykatu”. Niezłe musiały być te opłaty, jeśli ich skasowanie skompensuje wzrost kosztów produkcji.

Rozwiązanie kartelu papierniczego nastąpiło z tego głównie powodu, że dla fabryk większych i bogatszych skrępowanie ich przez kartel kontyngentami produkcji było arcy - niewygodne, zwlaszcza, że utrudniało zgnębienie konkurentów i monopolistyczne opanowanie rynku. że tu się mieści najczulszy punkt problemu, dowodzą poglądy zarówno „Gazety Handlowej”, jak i „Kuriera Polskiego” (Nr. 83), dowodzące, że ceny papieru najpierw spadną, a potem, gdy „najdrożej pracujące a najtaniej sprzedające” fabryki zostaną odepchnięte w bok, pójdą do góry. Współzawodnictwo i wolna konkurencja niezbędne będą „grubym rybom” nie tyle dla zdobycia rynku (po co go zdobywać, skoro i tak spożycie papieru jest większe teraz, niż w latach „prosperity”), ile dla utrącenia „płotek” i swobodnej a nieskrępowanej i niekontrolowanej zwyżki.

„Gdyż na długą falę nikt deficytowo pracować nie może”..., jak oświadczył „Kurier Polski”, wznosząc palec przestrogi do góry. I jak grzmi część prasy, stojąca na usługach przemysłu, który usiłuje wmówić w niedouczone społeczeństwo, że zwyżka cen surowców jest wystarczającym powodem do prowadzenia polityki anty - konsumenckiej i, co gorsza, anty - industrializacyjnej.

k. b.

Do numeru niniejszego załączamy dla Prenumeratorów, jako bezpłatną premię, broszurę p. t. „Mniejsze czy większe gospodarstwa włościańskie przy reformie rolnej”. — Władysława Grabskiego.

ADMINISTRRCJA PROSI

O ODNOWIENIE PRENUMERATY

NA KWARTAŁ II – 1937

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA”
ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.